Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 48 Niedziela, dnia 28 listopada 1926 roku Rok II-gi

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 30 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P. K. O. Nr. 63.353

ŁÓDZ — WARSZAWA — POZNAN

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

NOWE PARTJE.

Oznaki pewnego ożywienia na martwym i bezczynnym od szeregu lat froncie zachowawczym wywołały silne zaniepokojenie w stronnictwach obecnej prawicy. Rozdziera się szaty i załamuje ręce nad nowem rozbijaniem społeczeństwa na partje. Czy w rzeczywistości tak jest, czy nowe stronnictwa i grupy, które już powstały lub mają powstać nie wnoszą nic nowego do naszego życia politycznego, nic takiego, co usprawiedliwiałoby fakt powiększenia ilości stronnictw istniejących?

Zbadajmy najpierw gdzie, wśród jakich warstw społecznych zaznacza się to ożywienie i w imię jakich haseł powstają te nowe stronnictwa.

Zaczęło się w Nieświeżu, a w Nieświeżu oprócz arystokracji rodowej byli także przedstawiciele ziemiaństwa kresowego, grupującego się w stronnictwie zachowawczej pracy państwowej. W imieniu tego stronnictwa przemawiał w Nieświeżu ks. Eustachy Sapieha. Jest to t. zw. grupa monarchistów wileńskich. Program tej grupy głosi wyraźnie i bez wszelkich niedomówień, że ustrój parlamentarno - demokratyczny, oparty na pięcioprzymiotnikowem prawie wyborczem, prowadzi wszędzie do sejmowładztwa i do rządów partyjnych i jest w stanie zrujnować nawet najsilniejsze państwo. Ideałem tej grupy jest demokratyczna monarchja dziedziczna z silną władzą monarchy.

Grupa ta zajmowała w stosunku do sejmu stanowisko nieprzejednane i zawsze podkreślała konieczność wzmocnienia władzy zwierzchniej w państwie przez rozszerzenie kompetencji i przywilejów Głowy Państwa. To też z entuzjazmem powitała wypadki, które poczęły rozgrywać się w Polsce od połowy maja. Zmiana konstytucji, przewaga rządu ludzi światłych nad sejmem o bardzo niskim poziomie intelektualnym, bezkompromisowość rządu w sprawach autorytetu i godności państwa — wszystko to przyjmowane było przez grupę wileńską z objawami największego zadowolenia i poczęło zwracać na nią uwagę całego ziemiaństwa.

Konserwatyzm tej grupy, niefałszowany i od okoliczności niezależny przyciągnął także i elementy nieziemiańskie, chociaż — trzeba to stwierdzić — nigdy nie starał się wyjść z szeregów ziemiaństwa. I pod tym względem grupę ks. Sapiehy cechuje konsekwencja w postępowaniu. Gotowa do współpracy z żywiołami zachowawczemi i grupami monarchistycznemi, nie starała się ani wchłaniać ich, ani narzucać im swej hegemonji. Jest to taktyka nawskroś nowoczesna, zabezpieczająca przed zgniłemi kompromisami a także i przed secesjami, gwarantująca natomiast łatwość porozumienia i współpracy bez zasadzek gdy chodzi o sprawy wspólne wszystkim zwolennikom idei konserwatywnej.

Te inne elementy zachowawcze tonęły jednak w rezygnacji i wątpliwościach. Nie widząc dla siebie miejsca na froncie społecznym, który stał się frontem bojowym, konserwatyści albo wogóle nie brali udziału w życiu politycznem, albo ofiarowali swoje sympatje tym stronnictwom bojowym, które przyrzekały w razie zwycięstwa najoględniej obejść się z ideałami zachowawców. Powstały nawet stronnictwa specjalne, które usiłowały uprawiać konserwatyzm stosowany do partyjnictwa i niektóre hasła konserwatywne wypisywały na swoich sztandarach, traktując je jako curiosa, mogące w pewnym momencie zaintrygować masy.

Wierną swoim ideałom pozostała tylko grupa krakowska, nie ujawniając jednak żadnych dążności organizacyjnych. Grupa ta obrała taktykę działania za pośrednictwem jednostek. Dawała państwu wybitnych fachowców w dziedzinie administracji i w dziedzinie prawa i w ten sposób za ich pośrednictwem realizowała niektóre ze swoich postulatów a osłabiała szkodliwość wpływów radykalnych.

Dzięki polityce rządu obecnego, dążącej do wyjaśnienia stosunków politycznych w państwie i stwierdzenia rzeczywistego stanu sił, wśród żywiołów konserwatywnych zapanował ruch. Obok czynnej już dawniej grupy ks. Sapiehy wystąpiła na widownię grupa krakowska, łącząc się z żywiołami, sympatyzującemi z grupą wileńską, ale obejmującemi swoim programem nietylko ziemiaństwo i tworząc stronnictwo „Prawicy Narodowej" jako stronnictwo burżuazyjne, „Prawica Narodowa" nie negując korzyści, jakie mogłaby dać Polsce monarchja, sprawy tej nie wysuwa na pierwszy plan. Natomiast na pierwszy plan wysuwa reformę ustawodawstwa w kierunku zwiększenia bezpieczeństwa prawnego własności prywatnej, uważając to za pierwszy warunek podniesienia dobrobytu społeczeństwa i siły gospodarczej państwa.

Stronnictwo to pragnie zgrupować w swoich szeregach burżuazję wszystkich stanów i wszystkich klas.

Tworzą się jeszcze w Kongresówce i w Poznańskiem konserwatywne grupy ziemiańskie. Programem społecznym i gospodarczym nie różnią się od grupy wileńskiej ani „Prawicy Narodowej", ale nie łączą się w jedno z grupą wileńską ze względu na jej zdecydowanie antysejmowe stanowisko i jej wybitny charakter monarchistyczny oraz dążenie ekspansywne w kierunku na Wschód, ani z „Prawicą Narodową" ze względu na jej wszechstanowy charakter i duży liberalizm w stosunku do mniejszości narodowych.

Współpraca tych grup w sprawach najistotniejszych ze stanowiska aktualnych interesów państwowych jest jednak pewna.

Widzimy więc, że nie dokonywuje się dalszy podział społeczeństwa na partje, lecz że wyłania się z obecnego chaosu duży blok o wspólnej ideologji konserwatywnej z naturalnemi odcieniami, zależnemi od najbliższych interesów środowiska danej grupy, ale odcienie te współpracy tych wszystkich grup w niczem przeszkadzać nie będą. Przeciwnie w tych miejscach możliwe będzie porozumienie całego bloku z formacjami politycznemi obozu przeciwnego. Ziemianie w pewnych sprawach będą mieli wspólne interesy z partją włościańską — „Prawica Narodowa" z grupami mieszczańskiemi.

Wyjaśni się także sytuacja w stronnictwach dotychczasowych. Co tam czuło się nieswojo i akceptowało tylko część programu, odpłynie.

Mamy przeto do czynienia nie z dalszem rozbiciem społeczeństwa, lecz z przegrupowaniem i konsolidacją.

* * *

FRONT NARODOWY.

„Cóż to jest ten „front narodowy?" Bardzo przepraszam, ale ja żadnego frontu narodowego nie widzę. Jest to tylko firma, która wobec biegu wypadków coraz bardziej traci rację bytu".

Wyjmujemy te trzy zdania nie z „Robotnika" ani któregoś z organów rządowych, ale z pisma opozycyjnego, z najbardziej bojowego organu opozycji, z „Głosu Narodu" w Krakowie, tego pisma, które za bezprzykładne ataki na premjera i ministra spraw wojskowych popadło w ostry konflikt z władzami wojskowemi, podobnie jak kilka miesięcy przedtem „Słowo Pomorskie", tego wreszcie pisma, które publicznie piętnowało i wyrzekało się swoich najlepszych przyjaciół, jeśli doniesiono o nich, że kiedyś, gdzieś, jakieś sprawiedliwe słowo wyrzekli o Piłsudskim.

Jeśli istniał kiedyś front narodowy, to „Głos Narodu" był tego frontu redutą najczujniejszą, placówką partyzantów i franctireurów.

I oto naraz biała chorągiew na tej reducie. I to wyznanie: „Zaprzestajemy walki, bo walczyliśmy w imię hasła, które okazuje się fikcją. Niema żadnego frontu narodowego!"

Znajdzie się może wielu, którzy osądzą ten krok pisma i reprezentowanego przez nie stronnictwa jako zdradę i objaw defetyzmu, bo tak będzie dla nich wygodniej, do nadal będą mogli szczycić się „stałością" swoich przekonań. Tak jakby w imię tej stałości nie sprzeniewierzali się dotychczas codziennie właśnie najświętszym swoim przekonaniom.

Bo w imię czego nawołuje się do tworzenia frontu narodowego? Aby walczyć z tem wszystkiem, co było złe w naszem państwie. Zamiast szczegółowego programu pokazywano portret Mussoliniego.

Zdawałoby się, że jeśli znajdzie się w Polsce człowiek, który podobnie jak Mussolini ujmie w swoje silne ręce władzę w państwie, przedewszystkiem obóz narodowy skupi się przy nim. Tak należałoby sądzić, bo tak każe stałość i niezłomność przekonań.

Wiemy, że stało się inaczej. W obozie narodowym zmieniono naraz przekonania, a dla zamaskowania tej zmiany poczęto dowodzić, że Piłsudski nie jest Mussolinim, bo fotografja w paszporcie się nie zgadza. Tamten jest łysy i nie ma wąsów...

I wzywano nadal do utrzymania frontu narodowego, do organizowania narodu, do walki.

Z kim i o co?

Tu właśnie pękła przeciągnięta struna.

Kazano walczyć o to, co przedtem zwalczano. Powaga sejmu, wola społeczeństwa, wyrażana przez kliki sejmowe, nietykalność biurokracji. To wszystko naraz stało się świętością. Do niedawna było to źródłem wszystkiego złego.

Przejrzeli najwięksi fanatycy frontu narodowego i zobaczyli przedewszystkiem, że tego frontu niema. Zobaczyli, że naród oddaje się pracy i szczęśliwy, że może pracować, dawno zapomniał o spiskach i walkach.

Likwidacja fikcyjnego frontu narodowego rozpoczęła się. I w tem miejscu zaczyna się sanacja moralna, cel przewrotu majowego, tak drogo okupionego.

Naród polski odzyskał niepodległość i własne państwo nie poto, aby mógł tworzyć w niem fronty bojowe, ale aby mógł rozwinąć wszystkie swoje siły twórcze. Ze zmianą warunków egzystencji politycznej musiała przyjść zmiana orjentacji. Czekaliśmy na nią osiem lat i drogo musieliśmy ją okupić — drożej niepodległość.

W niewoli front narodowy był koniecznością, bo przeciw nam był front zaborcy i walka toczyła się o największe nasze dobra, o duszę polską.

Dziś w własnem państwie narodowi nic nie grozi, przed czem obronić nie mogłoby go silne państwo. Silne państwo i bogate w dobra kulturalne i materjalne społeczeństwo — oto jedyny cel narodu. Aby to osiągnąć nie trzeba tworzyć frontów bojowych — trzeba poprostu pracować.

I jeśli jakiś front jest nam potrzebny, to front pracy. Każde zwycięstwo odniesione na tym froncie, stanowiąc powiększenie bogactwa materjalnego i kulturalnego społeczeństwa, stanowić będzie zarazem sukces narodu.

* * *

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA EKONOMICZNA.

Zapowiedź zwołania i odbycia w maju międzynarodowej konferencji ekonomicznej ujmowana być może tylko, jako objaw bezsilności, jaką wszędzie czynniki rządowe i gospodarcze odczuwają w zmaganiu się z dotkliwym ciężarem paneuropejskiej choroby. Są przecie choroby, których grozę poznaje się nietyle po objawach bezpośrednich, ile po widomej zabiegliwości i gorliwości zakłopotanych lekarzy. I w tym wypadku również bije w oczy raczej powaga djagnozy, niż nadzieje na skuteczność zamierzonych zabiegów zaradczych. Jeżeli bowiem dobrze zgłębić przyczyny niedomagania, to niepodobna bez niedowiarstwa spoglądać na owo olbrzymie konsyljum, które uświadamiając sobie niemożność walczenia z przyczynami, za cel sobie postawiło jedynie złagodzenie ich następstw i objawów.

Dzisiaj, gdy poczynania międzynarodowe mają już swoją kilkoletnią historję, mało kto łudzić się jeszcze może co do ich skuteczności. A już najmniej chyba czynić to może Polska, wiedząc już z dotychczasowych pouczających doświadczeń, iż jej najżywotniejsze interesy albo są zapoznawane, albo też mało kogo bolą. Ujmowane pod kątem widzenia politycznym, są z dużą łatwością poświęcane, zaś w ujęciu czysto gospodarczem tak się już przyzwyczajono do traktowania nas jako „quantité négligeable", że weszło to już niemal w tradycję. Byłoby jednak zapoznawaniem prawdy, gdybyśmy nie przypisywali winy za to w znacznej części sobie samym, t. j. nieudolnym zarządzeniom rządowym, jak i czynnikom gospodarczym, które nie potrafiły dotąd przez odpowiednią konsolidację wytworzyć siły, z którą czynniki międzynarodowe liczyćby się musiały. Z tego uświadomienia należy wyciągnąć wszystkie nasuwające się wnioski, głównie zaś ten, że nie możemy spodziewać się liczenia się z nami, dopóki z jednej strony, naskutek płynności podstaw, stanowić będziemy teren niepewnych tranzakcyj handlowych i kredytowych, a z drugiej będziemy we wszystkich gałęziach wytwórczości nie zwartą całością, reprezentującą istotną siłę, lecz niezorganizowaną masą.

Do maja jednak warunków tych nie wytworzymy i dlatego głównym nakazem naszym być winno pamiętać o tem, że na konferencji międzynarodowej trwać musimy w stałej, czujnej i zdecydowanej defenzywie.

* * *

LIKWIDACJA URZĘDU LIKWIDACYJNEGO.

Sejmowa Komisja Budżetowa uchwaliła szereg rezolucyj, z których pierwsze miejsce nadała zniesieniu Głównego Urzędu Likwidacyjnego. Zarówno sam fakt powzięcia tej rezolucji, jak i akcent, nadany jej przez miejsce w długim szeregu, przejąć musi społeczeństwo zadowoleniem. Mąci je tylko żal o to, że to tak późno i po tylu już próbach i poczynaniach sanacyjnych przyszła teraz dopiero kolej na ten urząd, który byłby się chyba najlepiej zasłużył, gdyby był nazwę swą usprawiedliwił przez zlikwidowanie siebie samego.

Powołany do życia w zaraniu naszej państwowości, przetrwał długi szereg lat, nie składając tak dalece żadnych dowodów potrzeby swego istnienia, że niewiadomo wogóle, czy ktokolwiek uświadamia sobie, czy i co właściwie zdziałał ten urząd. Wiadomo nam tylko, że pośredniczył swego czasu przy zwrotach, pobranych przez komisję wiesbadeńską w naturze od Niemiec na podstawie traktatu wersalskiego. Między innemi były tam i maszyny, dostarczone w ilości pokaźnej na mocy układu ryczałtowego dla zastąpienia tych, których w naturze nie udało się odzyskać lub odnaleźć. Te jednak nie zostały zwrócone poszkodowanym przez okupantów właścicielom, lecz poprostu sprzedane. Co stało się jednak z uzyskanymi za to pieniędzmi? Wiadomo nam również, że maszyny, zarekwirowane przez niemców i pozostawione przez nich w kraju, właścicielom pierwot-

nym zwrócone nie zostały. Wiadomo nam wreszcie, że co dotyczy ogólnej sprawy odszkodowań za pokrzywdzenia okupantów — to Główny Urząd Likwidacyjny nietylko nie zrobił nic dla ich uzyskania, ale wprost przeciwnie, ustosunkowawszy się nieprzyjaźnie do wszelkich roszczeń pokrzywdzonych obywateli, nie zaniedbał niczego, co do zaprzepaszczenia ich sprawy przyczynić się mogło.

Gdy więc rząd posłucha rezolucji komisji i uchwałę jej wykona, nikt z pewnością nie uroni jednej łzy nad trumną nieszczęsnego urzędu.

Byłoby jednak pożądane, by oprócz pogrzebu doczekał się również nekrologu, uświadamiającego społeczeństwo, kogo właściwie chowa: czy notorycznego statystę na widowni naszego życia powojennego, czy też może jakiegoś małego aktora, który jednak jakąś rolę — jaką? i jak? — odegrał.

* * *

SPRAWA REFORMY ROLNEJ.

Z wielkiem zaciekawieniem oczekiwano pierwszej enuncjacji ministra rolnictwa p. Karola Niezabytowskiego o jego stosunku do reformy rolnej. Oświadczenie to złożył minister w sejmowej komisji budżetowej, gdzie na pytanie jednego z posłów wyraźnie oświadczył, że reformę rolną poprzedzić musi praca oświatowa na wsi.

Produkcja rolna stanowi lwią część ogólnej czaszej produkcji i tylko ona może trwale zabezpieczyć równowagę bilansu handlowego. Najłatwiej też i przy stosunkowo najmniejszym nakładzie kapitałów można produkcję rolną powiększyć. Byłoby szaleństwem, gdybyśmy uczynili cośkolwiek, co mogłoby spowodować zmniejszenie się produkcji rolnej, chociażby tylko przejściowo, bo żadnych przejściowych okresów przetrzymać nie potrafimy jeszcze.

Reforma rolna doprowadziłaby do zmniejszenia produkcji rolnej, bo nowy właściciel ziemi nie jest należycie przygotowany do wyzyskania jej.

Konieczności reformy rolnej minister Niezabytowski nie neguje, ale jeśli ma spełnić pokładane w niej nadzieje, poprzedzić musi ją praca oświatowa na wsi. Przyszły właściciel ziemi, tego najważniejszego warsztatu produkcji naszej, musi być należycie uświadomiony i należycie do swej roli przygotowany.

O środki na ten cel minister Niezabytowski gorliwie starać się będzie.

Podwójna robota

Komisja ankietowa. i Biuro badania cen

Zagadnienie badania kosztów produkcji uznane zostało przez rząd za tak dalece palące, że powołane być mają do życia naraz aż dwa organy, tej pracy poświęcone: Komisja Ankietowa przy Radzie Ministrów i Biuro Badania Cen przy ministrze przemysłu i handlu. Zadania, jak również i atrybucje obudwu organów są zupełnie analogiczne. Jeden ma poruczone sobie „zbadanie stanu, warunków, oraz kosztów produkcji i wymiany w poszczególnych gałęziach gospodarstwa narodowego", drugi „stałe badanie cen i kosztów własnych w przemyśle i handlu oraz kosztów usług gospodarczych". Jeden ma prawo zbierać zeznania od poszczególnych osób, badać przedsiębiorstwa na miejscu, rewidować księgi i dokumenty, korzystać z materjałów, będących w posiadaniu władz państwowych i komunalnych, drugi ma te same uprawnienia, wyrażone w nieco odmiennej formie. Jeden i drugi zaadoptowały sobie tryb postępowania według przepisów obowiązujących w sądowem postępowaniu cywilnem. Jeden i drugi wreszcie mają zapewnione prawo nakładania nad wyraz wysokich kar pieniężnych i pozbawienia wolności za niestawiennictwo, fałszywe zeznania, zatajenie, lub złamanie obowiązującej tajemnicy. Kary te różnią się tylko w swym rozmiarze i gradacji i są za analogiczne przewinienia wyższe to w jednym, to w drugim projekcie rozporządzenia.

Powołanie dwu tak bordzo podobnych do siebie organów badawczych naraz, jest tak dalece niezrozumiałe, że niepodobna wstrzymać się od mozolnego doszukiwania się różnic istotnych, jeżeli chce się zrozumieć i zgłębić potrzebę tego pleonazmu, w naszych warunkach szczególniej niepojętego. Bo skoro od lat narzekamy na przerost urzędów z jednej strony, z drugiej zaś na nadmierne obciążenie jednostek gospodarczych obowiązkiem usług informacyjnych wobec władz, to czem wytłumaczyć sobie równoczesne utworzenie dwuch zgoła równoległych urzędów, niezależnie od siebie wykonywujących jedną i tę samą pracę?

Różnic tych dopatrzyć się jednak trudno. Najbardziej zasadniczą wydaje się chyba tylko ta, iż Komisja Ankietowa nie ma poprzestać na samem zbadaniu warunków i kosztów produkcji, ale i winna wyciągnąć z tego i przedstawić rządowi „wnioski, zmierzające do racjonalizacji produkcji i wymiany oraz do obniżenia cen wytwarzanych dóbr gospodarczych", podczas gdy zakres zadań Biura badania cen ograniczony jest do czynności „stałego badania".

Z tego wyprowadzić się daje konkluzja, że Komisja Ankietowa ma jednak jakieś cele konkretne, których Biuro badania cen, przynajmniej w redakcji powołującego je do życia rozporządzenia, wydaje się pozbawionem. (Czy i jak dalece owe cele konkretne okażą się też życiowo realne, t. j. czy i jakim sposobem ewentualne wskazania Komisji co do racjonalizacji produkcji i obniżenia cen będą mogły być wprowadzone w czyn — to inna sprawa. Wolimy wyjawianiem tysiącznych wątpliwości pod tym względem, ani też powoływaniem się na fiaska tych prac w innych krajach nie ubiegać wypadków i czekać cierpliwie na ich bieg normalny). Ta wybitna luka w tekście rozporządzenia każe silnie powątpiewać o potrzebie powołania do życia Biura, skoro przecie Ministerstwo dla swych celów orjentacyjnych mogłoby mieć możność korzystania z owoców analogicznych prac Komisji i jej stwierdzeń pozytywnych. Narzuca się to tembardziej, iż Ministerstwo przemysłu i handlu mieć będzie w tej Komisji, narówni z ośmioma innemi ministerjami, swego stałego delegata.

W organie Ministerstwa, tygodniku „Przemysł i Handel", p. C. P. usiłuje równie mozolną jak sztuczną argumentacją uzasadnić współrzędną konieczność obudwu organów, jako nietylko niewykluczających się, lecz raczej wzajemnie się uzupełniających. Wywody swe autor artykułu opiera na tej zasadniczej różnicy, iż Komisja Ankietowa ma „zbadać", Biuro zaś „badać stale" pewne objawy życia gospodarczego. Zatem pewnej doraźnej czynności Komisji przeciwstawia stałe funkcje Biura. Ale właśnie na tem polega cała kruchość i sztuczność argumentacji. Bo optymizm, insynuujący wiarę w zdolność ustalania pilnych i potrzebnych niezwłocznie stwierdzeń przez Komisję, złożoną z 42 (czterdziestu dwuch!) członków, ujmujących zagadnienia z punktu widzenia odmiennych światopoglądów (przemysłowcy, robotnicy, konsumenci, uczeni i rząd) — ten optymizm zabardzo już graniczy z naiwnością, by mógł przekonać kogokolwiek. Jeżeli zaś iść po linji niemniej sztucznego argumentu, iż Komisja zmierzać będzie do efektu doraźnego, Biuro zaś do stworzenia pewnych kryterjów podstawowych — to znowu nastręcza się pytanie, czy Komisja może dać jakiekolwiek wyniki podstawowe, o ile sama kryterjów podstawowych sobie nie wytworzy. Znowu więc praca podwójna. Gdy chodzi o doraźność i szybkość wyników — to raczej należałoby wierzyć w to u Biura, jako organu elastyczniejszego, bo sześciokrotnie mniej licznego (7 członków). Ale i pod tym względem zbyt daleko idące oczekiwania musiałyby prowadzić do złudzeń ze względu na sam ogrom zadania, wykluczający wszelką możliwość efektu szybkiego.

Jedynem, co w tych warunkach może w pewnej mierze odebrać dwum przygotowanym rozporządzeniom ich żywy związek z przysłowiem o dwuch grzybach, byłoby chyba tylko ścisłe rozgraniczenie terenów badań. Bo tylko wtedy nie będzie wykonywana podwójna, więc nieprodukcyjna, praca.

Sfery gospodarcze mogłyby nietylko bez niepokoju, ale nawet z otuchą, wyczekiwać rozpoczęcia prac nowych tych organów, czynności których winnyby w zasadzie wydać owoce dodatnie dla rozwoju naszego życia gospodarczego. Bo ujęte naukowo i bezstronnie, prace Komisji Ankietowej lub Biura badania cen mogłyby ujawnić niejedno niedomaganie techniczne lub organizacyjne, odsłonić szkodliwość naszego prawodawstwa i rozwiać nieufność, celowo urabianą w społeczeństwie przez lata całe w stosunku do wszystkich sfer wytwórczych. W naszych warunkach jednak skutek ten nie jest pewny, bo ze względu na będący źródłem tego rozporządzenia wniosek poselski P. P. S., jest ono ujmowane jako potwierdzenie tej nieufności przez rząd. Słuszną się zatem wydaje obawa, by prace, podjęte z pewnem zgóry powziętem uprzedzeniem, nie utraciły niezłomnej podstawy bezwzględnej objektywności.

M. B.

POLSKA A PAN-EUROPA

Dyskusja na temat Pan - Europy oraz tworzących się bloków polityczno - gospodarczych zatacza coraz szersze kręgi. Obecnie już zarysowują się wyraźnie trzy blokujące się — lub conajmniej mogące się zblokować ugrupowania: Europa — bez Anglji i Rosji; 2-o Świat Anglosaski, obejmujący Anglję, Amerykę oraz dominja, kolonje i protektoraty we wszystkich częściach świata; 3-o Rosja, usiłująca zorganizować Ligę narodów Azji.

Zarówno geograficznie, jak gospodarczo i politycznie, Polska leży po za kręgiem bezpośrednich interesów świata anglosaskiego. Dyskusja więc toczyć się może jedynie na temat, czy żywotniejsze interesy polityczne i gospodarcze łączą Polskę z Pan-Europą, czy z blokiem rosyjsko - azjatyckim. Zwolennicy jednej i drugiej koncepcji operują argumentem rynków wzajemnie uzupełniających się (marché complémentaire).

Najjaśniej rozwija tę teorję p. A. Lednicki, żarliwy zwolennik Pan - Europy; wedle p. L., Rosja posiada zarówno surowce, jak produkty rolne, takie same jak Polska, tylko w rozmiarach znacznie większych — a zatem, wymiana ograniczałaby się do wywozu z Polski pewnej ilości produkcji tekstylnej — czyli, rynek polski i rosyjski nie uzupełniają się wzajemnie, niema więc podstaw gospodarczych do zbliżenia się tych 2 państw. Europa zaś potrzebuje naszego zboża, cukru oraz surowców — my zaś fabrykatów państw przemysłowych. A zatem nietylko związki kulturalne łączą nas z zachodem — ale i stanowimy rynki wzajemnie uzupełniające się.

Wręcz odwrotne stanowisko zajmuje p. Fr. Rawita-Gawroński, ostro wyrzucając naszej dyplomacji zaniedbanie zbliżenia się do Rosji.

P. Lednicki, rozwiązując dylemat: Polska najdalej na Wschód wysunięta placówka Zachodu — czy też zachodnia część Wschodu — ma korzyść zespolenia nietylko kulturalnego, ale i gospodarczego z Zachodem, (t. j. tą częścią kontynentu europejskiego, którą obejmujemy ogólnem pojęciem „kultury zachodniej") — przeoczył, że ograniczając rolę Polski do roli eksportera żywności i surowców—a importera fabrykatów—pominął nieodzownie z powyższem związany eksport... ludzi. Polska posiada gęstość zaludnienia większą, aniżeli np. Francja; posiadając znaczny przyrost ludności, i warunki klimatyczne ograniczające kulturę rolną do uprawy zbożowej i okopowizny, tembardziej dążyć musi do „urbanizacji" i odciążenia wsi, już obecnie przeludnionej. Najwięcej i najrentowniej zatrudnia przemysł przetwórczy; zadaniem zaś polityki gospodarczej państwa jest — znaleźć rynki zbytu dla fabrykatów, a nie dla ludzi. Konieczność zapewnienia „ojczyzny", t. j. uchronienia od tułaczki emigracyjnej ludności, musi być zasadniczą wytyczną polityki polskiej.

P. Rawita-Gawroński za rynek zbytu, nieodzowny dla naszego przemysłu i handlu, uważa Rosję. Niewątpliwie, Rosja mogłaby nabywać w Polsce coś więcej, aniżeli towary przemysłu tekstylnego — ale nie ma za co. Zasadniczą przeszkodą jest nie tyle niedołężna polityka Polski, co brak kapitału. Między dwoma krajami, niezasobnemi w kapitał, nie może być ożywionej wymiany. Niemcy, pomimo sojuszu politycznego i koncesyj ekonomicznych, zawiodły się w nadziejach na pojemność rynku rosyjskiego. Rosja mogła sobie pozwolić na eksperymenty polityczno-społeczne ze względu na swe szczęśliwe położenie geograficzne: rozbiorom politycznym ulec nie może, gdyż niema komu dokonać rozbioru; zniszczenie kapitału i wyczerpanie ekonomiczne przygotowuje w niej teren podbojów gospodarczych dla państw kapitalistycznie silnych. Prawdopodobnie bowiem obcy kapitał będzie eksploatował bogactwa naturalne Rosji — a niemało czasu zapewne upłynie, zanim proletarjat rosyjski stanie się konsumentem fabrykatów europejskich. W obecnem stadjum Polska ma szanse rentowniejszego zużycia swych ewentualnych kredytów, aniżeli „zamrażając" je na finansowanie eksportu do Rosji.

Polska nie może oczekiwać rozkwitu gospodarczego w symbiozie „rynków wzajemnie uzupełniających się" z Rosją, ze względu na małą zdolność nabywczą tej ostatniej, a niemożność udzielania długoterminowych a mało pewnych kredytów przez Polskę; ale nie może również być „rynkiem uzupełniającym" państw zachodnich, w znaczeniu nadawanem przez zwolenników Pan-Europy. Zasób zboża i surowców, produkowanych przez Polskę, jest dość znaczny, aby umożliwić uprzemysłowienie i utrzymanie w kraju nawet bardzo gęstej ludności. Ale te zasoby agrarno-surowcowe, wobec ogromu potrzeb i produkcji uprzemysłowionego kontynentu, są zgoła lilipucie — zarówno jako dostawca surowców, jak i konsument fabrykatów zachodnich, kraj nasz, ze względu na małą pojemność rynku, nie mógłby odgrywać znaczniejszej roli. Prawda, że nasza produkcja agrarna może być jeszcze kilkakrotnie pomnożona — ale: 1-o podniesienie intensywności kultury rolniczej nie może być dokonane z dnia na dzień; 2-o nie byłoby rentownem wobec braku długoterminowego kredytu i wysokiej stopy procentowej. Przy dzisiejszem ustosunkowaniu cen płodów rolnych i stopy procentowej, już przy niedalekiem stadjum intensyfikacji, występuje „prawo malejącego dochodu", uniemożliwiając dalsze nakłady, jako nierentowne. Dlatego interes gospodarczy kraju nakazuje raczej takie nakłady, jak np. osuszenie bagien Polesia i zrobienie z nich użytków rolnych przedewszystkiem pastwiskowo - hodowlanych, gospodarowanych napoły ekstensywnie — aniżeli znaczne nakłady, mające na celu podniesienie wydajności z 1 ha. Przeżywaliśmy okresy, kiedy nieudolne rządy w rozpędzie do niszczenia dobrobytu społeczeństwa, drogą reglementacji i zakazów wywozu, utrzymywały w Polsce ceny zboża znacznie poniżej cen światowych, rujnując tem rolników — a równocześnie ceny chleba w miastach, znacznie powyżej światowych, zmniejszały zdolność konkurencyjną naszego przemysłu. Usunięcie tych błędów nie zapewnia jeszcze możliwości znacznej intensyfikacji, gdyż ceny światowe nie rokują jej rentowności. Jeżeli więc chcemy znaleźć gospodarcze podstawy solidarności pan-europejskiej — ta droga nie prowadzi do celu.

Błędem zasadniczym tej koncepcji jest założenie, iż podstawą wymiany jest odmienny ustrój gospodarczy: z jednej strony państwo agrarno - surowcowe z drugiej uprzemysłowione. Takie pojęcia panowały w Anglji w XVIII stuleciu, kiedy zakazy rozwijania własnego przemysłu i handlu w Ameryce, doprowadziły do wojny wyzwoleńczej i utworzenia Stanów Zjednoczonych A. P.; takie pojęcia nakazywały jeszcze w XIX w. subsydjowanie na kontynencie europejskim t. zw. szkoły manczesterskiej, dowodzącej, iż dla dobrobytu tych krajów najwłaściwiej jest produkować zboże i surowce i wymieniać je w Anglji na fabrykaty. Historja jednak dowiodła, że właśnie wraz ze wzrastającem uprzemysłowieniem kontynentu, wzrastała jego wymiana z Anglją. Dzisiaj, nietylko teoretycznie wykształcony ekonomista, ale każdy znaczniejszy przemysłowiec typu np. Forda rozumie, że nie należy ograniczać możliwości rozwojowych, gdyż domniemany konkurent jest równocześnie ewentualnym konsumentem — przy wzrastającym dobrobycie wzrasta i konsumcja — a potrzeby ludzkie są nieograniczone i nie widać kresu ich zaspokojenia. To też dzisiejsze międzynarodowe porozumienia gospodarcze nie idą bynajmniej w kierunku przestarzałych pojęć minionych stuleci — lecz dążą do planowego zorganizowania produkcji i zaopatrywania rynków. Dążność do zsolidaryzowania interesów i zastąpienia współzawodnictwa współdziałaniem — wykazują właśnie państwa najbardziej uprzemysłowione — a nie rzekomo wzajemnie uzupełniające się: agrarno - surowcowo - przemysłowe. B. minister H. Gliwic, twierdzi, że mała restauracyjka w lasku Bulońskim, w której podpisano międzynarodowy „pakt stalowy" — stanie się historyczną, albowiem pakt ten będzie uważany za pierwszą próbę budowania podwalin przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy.

Stopniowe rozluźnianie pęt celnych między uprzemysłowionemi państwami Europy, bynajmniej nie ma na celu zdegradowania niektórych z nich do roli producentów żywności i surowców — lecz wspólne wyszukiwanie rynków zakupu surowców i zbytu fabrykatów, — względnie, taki planowy podział rynków, aby koszty oddalonych transportów nie obciążały nieprodukcyjnie towaru. Dla Polski w tym układzie niewątpliwie przypadłoby w pierwszym rzędzie zaopatrywanie rynków północnych i wschodnich. Polska jest terenem tranzytowym nietylko dla Rosji — ale drogi wymiany całego Zachodu ze Wschodem najdogodniej prowadzą przez Polskę zarówno obecnie, jak to miało miejsce w średniowieczu. Stan uprzemysłowienia Polski współczesnej daleki jest jeszcze od zaspokojenia własnemi siłami potrzeb tak obszernych rynków — dlatego normalną drogą rozwoju gospodarczego będzie wzrost handlu poprzedzał wzrost przemysłu; dochody z handlu tranzytowego, inwestowane w przemyśle, stworzą najpewniejsze podwaliny własnych kapitałów.

Kwestja wyszukiwania środków, wiodących do wybrnięcia z kryzysu trapiącego całą powojenną Europę, stała się przedmiotem rozważań międzynarodowych, zarówno oficjalnych, ze stemplem Ligi Narodów, jak i dyskretniejszych wprawdzie, ale i konkretniejszych porozumień poszczególnych gałęzi przemysłu. Polska tymczasem trzyma się na uboczu — a „les absents ont toujours tort". Opinja polska musi się ustosunkować do zagadnienia, aby jego realizacja nie zaskoczyła nas nieprzygotowanych. Obie wyłonione dotychczas koncepcje wydają mi się nie odpowiadające interesom i świetnym możliwościom rozwojowym Polski — poddaję więc pod dyskusję trzecią: ani Polska agrarno-surowcowa, ani tembardziej nie suplement Rosji — lecz uzupełnienie związków kulturalnych, łączących nas z Zachodem solidarnością i kierunkiem rozwoju przemysłowego, oraz próba współdziałania z uprzemysłowionym Zachodem w planowem zaspokajaniu potrzeb rynków światowych.

Dr. M. Zawadzka.

SENTYMENT, CZY INTERES?

Na marginesie dyskusji o stosunkach polsko-czeskich.

Stosunki czechosłowacko-polskie lub, ściślej mówiąc, stosunek Czechosłowacji do Polski traktowany u nas bywa z pewną nonszalancją. Opinje w tej sprawie wydaje się na podstawie oderwanych, często zupełnie nieprzemyślanych, faktów. Fakty, któreby wyciągane stąd dedukcje mogły w znacznym stopniu osłabiać, pomija się milczeniem, inne przedstawia się w zgoła fantastycznem oświetleniu. Taki stan rzeczy nie dziwił w czasie, kiedy stosunki między obu noworodkami państwowemi zostały przez znane wypadki cieszyńskie nadszarpnięte. Ale i w tym nawet czasie z obu stron, nieustalonej jeszcze i obstawionej lasem bagnetów, granicy odzywały się głosy ostrzeżenia. Obecnie stosunki się ustaliły, stosy zapisanego papieru zawartego w 18 umowach, tworzą dostateczne usprawiedliwienie twierdzenia, że życie samo usunęło tarcia i stępiło ostrze wzajemnych nieporozumień.

Myśli takie nasunęły mi się przy czytaniu artykułu p. Rawity-Gawrońskiego, zamieszczonego w Nr. 47 „Prawdy". Znajdujemy tu bowiem wszystkie wady, których przy wydawaniu sądów w sprawach tak poważnych, jak stosunki dwóch państw zaprzyjaźnionych, unikać należy. A więc kolejno: Autor rozpoczyna artykuł od twierdzenia, że wycieczkę dziennikarzy czesko-słowackich do Polski „Czesi urządzili na zimno, i celowo, my przyjmowaliśmy ich entuzjastycznie". Pierwsza nieścisłość.

Od kilku już lat Praga przyjmuje entuzjastycznie po kilkanaście wycieczek rocznie. I to nie byle jakich! Widzieliśmy w Pradze wycieczkę, liczącą do 200 osób! W tym samym czasie ilość wycieczek czesko-słowackich, przyjmowanych w Polsce, była znikoma. To też z naszej, nie z czeskiej, strony wyszła myśl, aby okres rewanżu gościnności, który nadejść wreszcie musiał, rozpoczęła wyprawa dziennikarska. O wynikach jej autor zdaje się nic nie wiedzeć, lub też celowo je przemilcza. Tymczasem zawarto przecież t. zw. „polsko-czesko-słowackie porozumienie prasowe", a zbiór wycinków z pism czeskich z artykułami o Polsce już obecnie nie zmieści się w żadnym razie w kieszonce od kamizelki! A jakie są te artykuły? Wyłącznie entuzjastyczne! Przytem mamy tu do zanotowania nawrócenie paru „Tomaszów niewiernych", ludzi, którzy brali w walce plebiscytowej czynny udział, obecnie wrócili na stanowisko, jako zdecydowani nasi przyjaciele. Czyż to jest możliwe tam, gdzie wycieczkę się traktuje „zimno"?

Ale to drobiazg. O wiele większe zastrzeżenia budzą przesłanki, na których autor oparł swoje rozważania polityczne. „Naszego wzajemnego stosunku z Czechami nie można opierać na sentymentach" — pisze autor — dowodząc dalej, że „zbliżenie polsko-czeskie jest potrzebne i możliwe". Brawo! Obie tezy słuszne, z tem tylko zastrzeżeniem, że stosunków polsko-czeskich nie można opierać t y l k o na sentymencie. Jako moment pomocniczy w wypadkach, kiedy stosunki opierają się na i n t e r e s a c h, sentyment może być rzeczą bardzo cenną. Należy zatem zastanowić się nad tem, czy Czechosłowację i Polskę łączą tak silne interesy wspólne, że wbrew wszelkim przeszkodom doprowadzą do ścisłej współpracy. Autor wspomnianego artykułu nie jest o tem przekonany. Zastanówmy się!

P. Rawita-Gawroński twierdzi, że orjentacja polityki czeskosłowackiej idzie i iść musi w stronę Rosji i Niemiec. Fakt wejścia dwóch ministrów niemieckich do gabinetu jest dla autora dostateczną podstawą do takiego wyroku. Pisze on przytem o sześciu miljonach Czechów, pomieszanych z Niemcami, tak że nieraz wydzielić ich trudno. Ale nie wolno przeciwstawiać sobie Czechów i Niemców, nie biorąc pod uwagę Słowaków, którzy, jeśli nawet są autonomistami, nie prowadzą polityki niemieckiej, a także Rusinów i Polaków. Węgrzy tylko są elementem niepewnym. W takiem oświetleniu wobec 3 i pół miljonów Niemców staje zwarta masa prawie całej reszty 14-miljonowego państwa.

Niestety, stosunki wewnętrzne w Czechosłowacji ułożyły się tak, że w danych warunkach i w danej chwili pomoc niemiecka okazała się niezbędną. Rządy czysto czeskosłowackie nie mogły się utrzymać. Czyż jednak zawsze tak będzie? Czy gabinet, złożony z przedstawicieli mieszczańskich stronnictw czeskosłowackich i niemieckich będzie żywotniejszy, niż mieszczańsko-socjalistyczny gabinet, ożywiony wspólną ideą narodową? Pewne symptomy pozwalają przypuszczać, że tak nie będzie! Kto zna stosunki czeskosłowackie z autopsji, kto w przeciągu długiego szeregu lat, od powstania niemal republiki czeskosłowackiej, śledził wypadki wewnętrzne na miejscu, ten to potwierdzi.

Zaświadczy również, iż ogólnem przekonaniem w Pradze jest, że obecne intermezzo długo nie potrwa, następny zaś okres, to znów rządy narodowe. Przecież rząd obecny nie posiada większości. Trwa tylko dlatego, że innego wyjścia w obecnej chwili niema, a opozycyjne nawet stronnictwa świadomie rządu nie obalają. Ale gdyby nawet w liczbie kilkunastu ministrów znalazło się dwóch Niemców (roboty publiczne i poczta), to do „kierowania Czechosłowacją" bardzo jeszcze daleko.

Niesłuszne też jest twierdzenie, jakoby antagonizm niemiecko-czeski (wewnątrz kraju) był mniejszym, niż niemiecko-polski. Z pewnością każdy Polak, znający język czeski próbował posługiwać się nim w t. zw. „terytorjum zniemczonem", na rubieżach Czechosłowacji. A z jakim skutkiem? Patrzono nań, jak na wilka! Przejrzyjmy odezwy, wydawane przez rozmaite organizacje wielkoniemieckie, sprawozdania z wieców, mowy parlamentarne i t. d. Wszędzie obok Polski wymienia się Czechosłowację. Czechosłowacja, już przez swoje położenie geograficzne jest solą w oku wielkoniemieckiem, wciskając się klinem w niemieckie terytorjum etnograficzne i przecinając drogę Berlin—Wiedeń—Budapeszt. Niestety, zrozumienie niebezpieczeństwa niemieckiego jest w Czechosłowacji naogół większe, niż w Polsce. Nie zmienia w tem nic, że Czechosłowacja ma nazewnątrz poprawne stosunki dyplomatyczne z Niemcami. Dowodzi to jedynie rzutkości dyplomacji czeskiej.

Tak więc ta właśnie kwestja niemiecka nietylko nie jest przeszkodą na drodze do zbliżenia polsko-czeskosłowackiego, lecz właśnie jest najsilniejszym argumentem, przemawiającym za kontynuowaniem pracy, rozpoczętej na tem polu.

Stosunek do Rosji! Tu sprawa jest bardziej zagmatwana, ponieważ wchodzą w rachubę reminiscencje historyczne. Wstrzymanie dowozu do Polski podczas wojny z bolszewikami? Niewątpliwie jest to najbardziej przykry i bolesny incydent w dziejach obu narodów. Ale czy dowóz wstrzymywał rząd czeski? I w jakim celu? Fakt ten zaszedł w chwili, kiedy hordy bolszewickie osaczyły Polskę, a takie same hordy bolszewików wewnętrznych usiłowały rozsadzić Czechosłowację. W momencie, kiedy idee bolszewickie zagrażały istnieniu tego rządu, który rzekomo miał dopomagać bolszewikom rosyjskim do dotarcia do granic czesko-słowackich, a temsamem do obalenia siebie, względnie do rozwieszenia po latarniach poszczególnych ministrów. Nie! To nie rząd, lecz t. zw. „proletarjat". Rządowi zarzucić można jedno, że nie był dość silny, aby się samowoli komunizujących kolejowców przeciwstawić. Czyż jednak wspomnienie tego, powtarzam bardzo bolesnego faktu, ma zatruwać atmosferę wzajemnego współżycia ku uciesze stale groźnych i stale w pogotowiu będących Niemiec? To nie jest polityka realna; to właśnie jest polityka kierująca się tylko sentymentem, noszącym w tym wypadku mniej sympatyczne miano antypatji.

Drugi argument „sentymentalny", to sprzedawanie przez sztab generalny francusko-polskich dokumentów bolszewikom. Widocznie chodzi tu autorowi o głośną sprawę generała Gajdy. Autor jednak zapomina o tem, że sprawa ta, nie została należycie dotychczas wyjaśniona, oraz, że o ile oskarżenia się potwierdzą, to wyjdzie na jaw, że nie sztab generalny, lecz generał Gajda dopuścił się tego występnego czynu. Dopuścić się go miał w czasie, kiedy był w szkole generalskiej we Francji. Zastępcą szefa sztabu został mianowany w parę lat później. Czyż to jest argument?

Argument polityczny? Znów reminiscencje historyczne! Ale jest zarzut realny. Faktycznie był czas, kiedy polityka czesko-słowacka liczyła na stworzenie wspólnej granicy czeskosłowacko-rosyjskiej. Ale czyż myśmy nie mieli polityków, którzy parli wszelkiemi siłami do osiągnięcia wspólnej granicy polsko-węgierskiej? A czyjim kosztem? Są to błędy przeszłości. Podobnych błędów historja zna więcej, ta historja, która ma być nauką dla przyszłych pokoleń. Psychoza powojenna, o której raz już wspomniałem, powołała do życia obie koncepcje. Opamiętanie, jakie niezwłocznie nastało, obie koncepcje pogrzebało. Wymagania życia realnego zwyciężyły.

Jedyna droga, raczej najdogodniejsza droga, z Czechosłowacji do Rosji, prowadzi przez Polskę. Tu geograficzne położenie Polski jest kapitałem niezmiernie cennym. Z tranzytu bowiem państwa ciągną znaczne korzyści. Rynek zaś rosyjski jest tak pojemny, że przemysł drobnej Czechosłowacji wraz z przemysłem polskim znajdą miejsce zbytu. Należy jedynie sprawę tę uregulować, oczywiście wówczas, kiedy wewnętrzne stosunki rosyjskie stworzą podstawę do prowadzenia z Sowietami handlu na większą skalę. Idea unji celnej czesko-polskiej, z polskiej, nie czeskiej, strony rzucona, z tych właśnie przedewszystkiem wychodziła założeń.

Streszczając powyższe, stwierdzamy: zbliżenie czeskosłowacko-polskie jest nietylko potrzebne, ale wręcz niezbędne. Oba państwa łączą interesy wspólne: niebezpieczeństwo niemieckie. Pozorne różnice i konkurencja na rynkach rosyjskich da się uregulować z korzyścią dla stron obu. Należy jednak obchodzić się ostrożnie z argumentem sentymentu. Wspólność rasową trzeba podkreślać, animozje, wypływające z fałszywych założeń, lub starannego żywienia przykrych wspomnień historycznych, należy zwalczać i łagodzić. Wyjdzie to obu stronom na pożytek.

Władysław Mergel.

Praga, w listopadzie 1926 r.

NACJONALIZM

Zarzewie nowych wojen. — Religja a nacjonalizm. — Irredenta. — Przykład bałkański. — Nacjonalizm spełnił swoją rolę i dziś jest ideą szkodliwą

Mimo, że w nowożytnych dziejach okresy pokojowe są dłuższe, nie uprawnia nas to do wniosku, jakoby utrwalał się moralny czynnik, zastępujący argumenta gwałtu. Raczej wobec większej intensywności współczesnej walki, obserwujemy także większe wyczerpanie i osłabienie zaczepnego animuszu.

Doświadczenia ostatniej wojny wywołały wprawdzie w szerokich masach wyraźne otrzeźwienie, ale z powstającemi nowemi organizmami państwowemi powiększono liczbę kwestyj spornych, przez co kłótnia europejska coraz się zaostrza, a przygotowania i przysposobienia wojenne odbywają się zupełnie jawnie. Więcej też mężczyzn stoi pod bronią w roku 1926, niż to miało miejsce w roku 1901, nie licząc modnych obecnie w nowopowstałych republikach związków cywilnych, czyniących zapewne więcej, niż zabawę w wojsko.

Zwiększa się też z dnia na dzień ilość i jakość narzędzi morderczych, a jeśli w ostatniej wojnie decydującą rolę grał ogień artylerji, to przypuszczać należy, iż w następnej użytą zostanie w pełnem zastosowaniu chemja, a może i bakterjologja. Środki te użyte przy pomocy lotnictwa dają obraz wprost zatrważający. Istniejące dziś związki i traktaty każą przewidywać, iż płomień się rozszerzy, obejmując łatwo cały nasz kontynent i nie jest przesadą obawa zupełnego zniszczenia europejskiej kultury.

Dlaczego wojna jest możliwą? Dlaczego jest możliwą podobna zbrodnia w czasach, kiedy tyle się mówi o postępie, o ludzkości i o kulturze?

Dlaczego możliwą jest czelność tych, którzy wśród katastrofy gospodarczej, którą przeżywamy, otwarcie do wojny przygotowują?

Te oto pytania stawiam za osnowę artykułu niniejszego.

* * *

Psycholodzy wskazują na rzekomo ukryte zwierzęce instynkta i odziedziczone bojowe namiętności u człowieka.

Przyjmijmy istnienie tych instynktów, nawet możliwość ich dziedziczenia. Tem niemniej kultura i cywilizacja szły w kierunku ich poskromienia i stworzyły przeciętny typ dzisiejszego europejczyka, umiejącego świetnie w ramach państwowości załatwiać problemy sporne bez użycia siły. Przestępcy i mordercy tworzą nieliczny wyjątek, z którymi walczący żołnierz nie może być porównany. Są oni zresztą przez prawo karani, a społeczeństwo stawia ich wyraźnie poza swój nawias, akcentując bezwzględnie szczerą odrazę przed gwałtem.

Jedynie w stosunku z „obcymi", jeżeli przez odpowiednią propagandę napiętnowani są jako wrogowie, staje się ów spokojny obywatel wyznawcą argumentów gwałtu. Idealizuje nagle to samo, co przez nabytą kulturę wobec „swoich" z odrazą i obrzydzeniem odpychał.

Jeżeliby więc w grze były naprawdę instynkta, to dlaczego kończy się ich kontrola i opanowanie jedynie w stosunku do obcych? W imię jakiejże idei ten dziwny wyjątek?

* * *

Już plemienni bożkowie i pogańska wiara zdolne były zagrzewać bitewny zapał prymitywnych ludów. Podobnie i wielkie światowe religje. „Deus vult" chrześcijańskich bojowników o Ziemię Świętą i „Allah tak chce" wschodniego islamu stanowiły popularne hasła walki.

Ogniem i krwawym mieczem szerzono wiarę wschodniego proroka. Ale stała się panującą religją olbrzymich terytorjalnych przestrzeni wschodu. Odegrała rolę moralnego spoidła niezliczonych plemion i ludów, darowując im następnie, jako współwyznawcom, zgodę i pokój.

Chrześcijaństwo od początku niosło światu wzniosłą ewangelję miłości i pokoju. Ten, który w sercu miał miłość bliźniego, głosił ideę braterstwa i zgody. Ku niej szły znękane dusze w przekonaniu, że prędzej od pogańskiego Rzymu dać może ówczesnemu światu powszechny pokój.

Chociaż w następstwie nadużyto jej, czyniąc z wiary narzędzie w rękach perfidnych, z imienia tylko chrześcijan, to zmienić jej mimo wszystko nie zdołano, bo prowadzi zawsze ku pojęciu Boga-Ojca i człowieka-brata, wszczepiając cnotę sprawiedliwości, miłości i pokory.

Jej wielcy, naśladujący żywot Tego, który uczył, że pierwszym będzie ten, który był ostatnim, nie byli z reguły rycerzami zbrojnymi. I nie ciąży krew na sumieniu takich, jak Franciszek z Assyżu, Antoni z Padwy lub Katarzyna z Sienny.

* * *

Żaden taki czynnik moralny nie tkwi w pojęciach dzisiejszego nacjonalizmu. Zamiast łączyć współwyznawców idei wolności — stale ich dzieli. Nie pielęgnując miłości własnej ojczyzny, wszczepia nienawiść dla ojczyzny drugich. Nie mając w dzisiejszej swej koncepcji wartości etycznych, przypomina tendencje Starego Testamentu do stworzenia mitu i legendy o narodzie wybranym.

* * *

A zaczęło się przecie szczytnie i górnie; o wolność i prawo samostanowienia rozpoczęto walkę nacjonalistyczną. Ku obaleniu tyranji chwycono za broń. Walczy bohatersko Hiszpanja, walczą Niemcy (freiheitskriege), walczą Grecy o niepodległość, Serbowie pod Karageorgiem, Belgowie, Polska; walczą kolejno wszystkie ciemiężone narody. Rebelje, powstania i wojny o niepodległość, liczba których ciągle wzrasta w minionem stuleciu, stwarzają legendarną epopeję czynów bohaterskich i całą plejadę wzniosłych ofiar.

Wierzono, że po zdobyciu wolności zakwitnie ogólne braterstwo ludów. Wizje Mazzini'ego stanowią kulminacyjny punkt optymizmu co do błogosławionych następstw tych zbrojnych walk. Nasze pokolenie dożyło spełnienia się wielkich marzeń — równocześnie wielkiego rozczarowania. Wszystkie prawie narody Europy uzyskały formalnie prawo samostanowienia o swoim losie. Otrzymały dzięki entuzjazmowi i szlachetnemu bohaterstwu całych pokoleń upragnioną swobodę.

Zamknąwszy oczy na bieżącą historję przypuścićby należało, że każde z powstałych państw uszanuje ideały, o które walczyło i że stanie się żywym przykładem sprawiedliwości i filarem pokoju.

Na podstawie smutnych doświadczeń bieżącej historji stwierdzić należy, iż stało się przeciwnie. Nacjonalizm nie pozbył się swych agresywnych funkcyj, choć pierwotny cel jego idei został osiągnięty.

Nie mając ideału do spełnienia, nadużywa minionych dla organizacji i usprawiedliwienia planowanego przez pewne grupy rozboju. Stwarza nową religję świętego egoizmu, naśladując metody obalonych ciemiężców. Przyswojenie tych uczuć obywatelom odbywa się zapomocą narodowej propagandy, a co gorsza — i szkoły.

* * *

Zanim jeszcze skończyła się ta serja walk narodowych, zanim zasada prawa o samostanowieniu została utrwaloną, już powstały komplikacje, stwarzając nowe zarzewie spo-

Listy z Londynu

Amerykański pisarz i publicysta o Polsce

Londyn, w listopadzie 1926 r.

Nowoczesne piśmiennictwo amerykańskie posiada takiego np. Paul Scott Mowrer'a, prawdopodobnie najwybitniejszego znawcę powojennych stosunków europejskich. Dał on tego dowody w kilku arcyciekawych publikacjach, z których najważniejsza ukazała się w zeszłym roku p. t. „The balcanized Europe". Zawiera ona, oprócz treściwego i rzeczowego oświetlenia dzisiejszych warunków europejskich, również ważne i ciekawe spostrzeżenia dotyczące Polski. Osoby zainteresowane odsyłam do tej zajmującej książki, natomiast obecnie streszczę uwagi p. Mowrer'a o Polsce na zasadzie artykułów, opublikowanych przezeń w „Chicago Daily News".

Polskę odwiedził p. Mowrer dwukrotnie, t. j. po raz pierwszy w r. 1920, zaś po raz drugi na wiosnę b. r. Na wstępie do pierwszego artykułu stwierdził on nadzwyczajny postęp, jaki zauważył w Polsce ostatnio od czasu swej pierwszej podróży oraz wzrost znaczenia w politycznej strukturze świata, jakie koleją rzeczy sobie zdobywa.

Jeżeli do grupy państw pierwszej kategorji należy zaliczyć Anglję, Francję, Niemcy, Włochy i Rosję, to na czele drugiej, drugorzędnej grupy, stoi niezawodnie Polska. Posiada ona w rzeczywistości pośrednie stanowisko między wielkiemi i małemi państwami Europy, licząc się politycznie jako szóste państwo z rzędu, lecz trzecie pod względem uprawy ziemi, przy naturalnym przyroście ludności wynoszącym półmiljona głów. Wewnętrznie szybko się Polska konsoliduje i jej ruchliwość dyplomatyczna jest znaczna. Bogata duchowo, zasobna pod względem bogactw naturalnych, kulturalna, inteligentna, ludna i postępowa, Polska szybko uzyska głos w areopagu narodów.

„Od szeregu lat szkodliwa i zbrodnicza propaganda kierowana przez jej wrogów, usiłuje zdyskredytować Polskę w oczach świata. Prowadzą ją Niemcy, Anglja i Żydzi. Motywami tej akcji było głównie to, że Polska rzekomo nie umie się samodzielnie rządzić, że kieruje się imperjalizmem i że zostanie zniszczona przez liczne mniejszości narodowe, które absorbowała, zaś jej sytuacja geograficzna między Niemcami a Rosją, pozostawia ją na łasce tych dwuch nieprzyjaznych państw. Jednakże jej strategiczna i wewnętrzna polityczna sytuacja wcale nie jest tak tragiczną, jak to jej wrogowie głoszą.

Pomimo kolosalnych szkód, spowodowanych kilkuletnią wojną, śladów jej dzisiaj w Polsce prawie nie widać. Aczkolwiek istnieją w niej bardzo silne antagonizmy partyjne, to jednak cały naród jest niezawodnie napełniony gorącym, optymistycznym patrjotyzmem. Przejezdny znajduje w Polsce kraj zorganizowany, posiadający kompetentnych urzędników, świetną prawie miljonową armję i dobrze wyszkolonych oficerów. Koleje i tramwaje bardzo dobrze funkcjonują i pomimo depresji ekonomicznej przemysł i handel regularnie się rozwijają. Odważna reforma finansowa postawiła polską walutę na równi złota i pomimo, że koszt utrzymania uczyniła bardzo wysokim, to jednak żywności nie brak i można nawet liczyć na znaczny eksport zboża w tym roku. Głód i choroby, które szerzyły się w Polsce pięć lat temu, znikły zupełnie. Takie miasta jak Warszawa, Kraków, Wilno, Łódź, Lublin i Poznań, robią wrażenie zupełnie prosperujących i żyjących w atmosferze liberalnej demokracji. Studenci obojga płci szczelnie zalegają wszystkie uniwersytety. Ulice są dobrze utrzymane i domy poodnawiane. W teatrach i hotelach widać wszędzie elegancką, dobrze ubraną publiczność. Specjalną uwagę zwraca wszędzie znaczna ilość gazet i wszelkiego rodzaju książek. „Polacy, to zupełnie intelektualny naród" konkluduje p. Mowrer. Zajmuje on siódme miejsce pomiędzy narodami pod względem literackiej produkcji. O Warszawie wyraził się, że stanie się niezadługo jednem z głównych centrów świata!

Wszystkie te przejawy tęgiej kultury i ruchliwego życia, stanowią dla cudzoziemca prawdziwą rewelację i zupełne nieodpowiadają fałszywym opisom wrogiej Polakom propagandzie. Nie sposób znaleźć, twierdzi p. Mowrer, owego wojowniczego, ograniczonego i prześladującego innych Polaka, o którym legendy chodziły po świecie. Spotykałem natomiast ludzi prawdziwie postępowych, ruchliwych, liberalnych i inteligentnych indywidualistów, czasami może zbyt nerwowych i skłonnych do podniety, lecz tętniących życiem i dających dowody wszystkiego, prócz narodowego niedołęstwa.

Przechodząc do oceny sytuacji politycznej we wschodniej Europie, dzieli p. Mowrer państwa europejskie na trzy następujące grupy: 1) państwa, będące członkami Ligi Narodów, które sprzeciwiają się stabilizacji Europy, na podstawie obecnego status quo. Do nich należą Niemcy i Sowiety, 2) państwa, członkowie Ligi, które skłaniają się ku terytorjalnym zmianom obecnego stanu rzeczy. Do nich zalicza on Anglję, Węgry, Austrję, Bułgarję i Litwę, 3) państwa, członkowie Ligi, które pragną stabilizacji na zasadzie status quo, t. j. Francja, Polska, Rumunja, Jugosławja oraz państwa Bałtyckie.

Ta ostatnia grupa, zdaniem p. Mowrera, nie żywi żadnych terytorjalnych ambicyj i uważa egzystujące granice za wystarczające i sprawiedliwe. Państwa te są w pewnym stopniu ze sobą związane w łatwo zrozumiałym celu samoobrony, wobec tego wszystko, co dąży do stabilizacji i konsolidacji Europy, znajduje u nich żywe poparcie. Wszystko zaś, co zmierza do zmian, lub rewizji obecnych granic, traktują podejrzliwie. Rozbrojenie, według ich opinji, musi być zapewnione wzajemnemi gwarancjami bezpieczeństwa, czyli stabilizacją wewnętrzną egzystujących granic.

Państwa, należące do drugiej kategorji są zdania, że obecne granice nie dadzą się utrzymać, i powinny być, o ile można, zmienione, ponieważ znajdują się pod kontrolą Ligi, przeto mogłyby być zmienione przy pomocy różnych środków pokojowych, a więc dyplomatycznych konferencyj, bezpośrednich negocjacyj, presji opinji światowej etc. Państwa tej grupy, za wyjątkiem Anglji, czują, że ich obecne granice są niewystarczające; zarówno Austrja jak i Węgry, Bułgarja i Litwa mają dotąd pretensję do różnych do nich obecnie nienależących terytorjów. Anglja jest wyrazicielką opinji, że ostateczna konsolidacja pokoju może być osiągnięta przy pomocy udzielania koncesyj terytorjalnych pewnym państwom, które są niezadowolone z nowej Europy. Jej postawę osłabia jednak fakt, że koncesje, które faworyzuje, mają się odbyć kosztem innych państw, a nie jej samej. Oprócz tego, będąc potęgą morską, jest ona zupełnie zadowoloną z obecnego podziału wybrzeża morskiego, tak, iż wszelkie rewizje terytorjalne ograniczyłyby się tylko do wnętrza Europy. Dla tej racji popiera ona niezależność państw Bałtyckich oraz Besarabji, ponieważ te usuwają Rosję od morza, dziwne jest jednak, z drugiej strony, że zdaje się popierać ideę koncesyj terytorjalnych na rzecz Niemiec i Rosji kosztem Polski. Specjalnie jednak zależy jej na zaprzyjaźnieniu się z Niemcami drogą ekonomicznej rekonstrukcji tejże i pokojowej względem niej polityki celem oczywiście oderwania ich od groźnego aljansu z Sowietami.

Co się tyczy Niemiec i Rosji Sowieckiej, to oponują one, jak pisaliśmy, przeciw obecnym granicom, łączy zaś je umowa w Rapallo i traktat berliński. Pozatem wszystko je różni: w Rosji panuje komunizm, podczas gdy Niemcy są konserwatywne. Rosja zmierza do rewolucji światowej, podczas gdy Niemcy są usposobione nacjonalistycznie. Rosja jest niedostępną i może ignorować Zachód, zaś Niemcy są rozbrojone, otwarte dla inwazji z trzech stron. Robią one wrażenie zniechęconych z racji swych sowieckich sojuszników i, mając do wyboru angielską i sowiecką przyjaźń, zdają się skłaniać ku zachodowi.

Tak się przedstawiają w najogólniejszych linjach uwagi p. Mowrer'a o sytuacji Polski we wschodniej Europie. Nabierają one tem większego dla nas znaczenia, że pisał je człowiek o umyśle trzeźwym i bezstronnym. Do spraw polskich odniósł się jednak z prawdziwą życzliwością i sympatją, za co należy mu się szczere podziękowanie.

Najważniejszym dla nas jest ten moment, gdzie mowa o zagrażającem Polsce z dwóch stron niebezpieczeństwie, którego bliskość coraz to nowe fakty potwierdzają. Warto tu przypomnieć nową umowę sowiecko-litewską, którą można narazie zbagatelizować, lecz nie wolno nam jednak zapominać o nadzwyczaj intensywnej kampanji propagandowej, którą prowadzą obecnie Niemcy we Francji i Anglji przeciw nam, aczkolwiek nie bezpośrednio. Konszachty w Thoiry aż nadto to ujawniły, a teraz artykuł barona Rheinbabena, znanego hakatysty, na łamach „Sunday Times" zupełnie wyraźnie wskazuje, że oficjalne Niemcy pragną za wszelką cenę zneutralizować Anglję w stosunku do nas, celem zażądania zwrotu w odpowiedniej chwili korytarza i Śląska.

Stefan Kleczkowski.

ri. Mamy na myśli t. zw. irredentę. Słowo jest pochodzenia włoskiego, a użyte zostało w dzisiejszem znaczeniu po raz pierwszy w roku 1875 (Italia-Irredenta) przy agitacji na rzecz powiększenia terytorjum połączonego królestwa Italji aż po wszystkie obszary, gdzie tylko zamieszkują ludzie mówiący po włosku. Różnica między tą irredentą a poprzedzającem hasłem o prawo samostanowienia polega na tem, że połączone królestwo obejmowało jedynie przestrzenie, gdzie wszyscy mówią i „czują" po włosku, zaś Italia-Irredenta, t. zn. Triest, Fiume, Istrja i Dalmacja, objąć musiała ludność mieszaną. Tak więc państwo powstałe w imię ideału wolności, zaledwie w pięć lat później wstąpiło otwarcie na drogę prowadzącą do podboju. W roku 1919 Italia-Irredenta przyłączoną została do Królestwa. To co dawniej było irredentą włoską jest obecnie jugosłowiańską i niemiecką. Włochy usprawiedliwiają ten podbój prawami spadkobiercy dawnego weneckiego państwa, ale równie słusznie może Jugosławja powołać się na średniowieczne państwo serbskie Stefana Dushana, a Niemcy na monarchję habsburską.

Określenie — irredenta — jest włoskie, ale problem stał się internacjonalnym, a w ideologji nacjonalistycznej jest nierozwiązalny. Przy dalszem jej dominowaniu w stosunkach międzynarodowych łatwo przewidzieć, że skorzystają z nadarzającej się sposobności jugosłowianie lub niemcy, przez co sprawa zacznie się znów od początku.

Podobnie przedstawia się kwestja Alzacji i Lotaryngji.

Typowy zaś przykład, do czego ten nacjonalizm II-go stopnia — t. j. dalsze wyzyskiwanie idei narodowej wolności — doprowadzić może, — stanowi Bałkan. Dla Europy w dzisiejszej polityczno - państwowej strukturze winien on być głośnem ostrzeżeniem i dlatego warto mu słów kilka poświęcić.

Wojny XIX stulecia o prawo samostanowienia stworzyły na terenie Ottomańskiego mocarstwa zaczątki narodowych państw. Powstały: mała Grecja, mała Serbja, mała Bułgarja i mała Rumunja. Ale u wszystkich tych państw natychmiast po ich ufundowaniu powstało w imię ideałów narodowych gorące pragnienie stania się wielkiemi. Zaspokoiwszy ideał wolności, wypisano nowe hasło wielkiej Serbji, wielkiej Bułgarji i wielkiej Rumunji.

Możliwem to było jedynie przez podbój obszarów, zamieszkałych przez ludność mieszaną. Cel był dość trudny do osiągnięcia, bo np. Tracja i Macedonja musiałyby równocześnie być bułgarskiemi, serbskiemi, greckiemi i tureckiemi.

Próby rozwiązania tego zagmatwanego węzła, stanowiącego z akademickiego punktu widzenia kliniczny przykład choroby nacjonalnej, doprowadziły do zastosowania dość ciekawych eksperymentów.

Zaczęto od pokojowej narodowej pracy uświadamiającej, bowiem większość mieszkańców wymienionych prowincyj nie zdawała sobie jasno sprawy, do jakiej narodowości właściwie należy.

Nie wiedząc np. czy są Serbami, czy też Bułgarami, zwali się niektórzy sami dość naiwnie Chłopami lub Chrześcijanami. Język, którym mówili, był poprostu narzeczem. Ale nacjonalizm nie uznaje istnienia problemów, których nie jest w stanie rozwiązać, więc twierdzili studenci z Sofji, iż jest bułgarskim, podczas kiedy profesorowie z Belgradu „dostarczali" dowodów, że był zawsze serbskim. Wmówiono jednym, że są Bułgarami, drugim — że byli zawsze tylko Serbami. Wątpiących pozyskali sobie sprytni Grecy, wmówiwszy im poprostu, że są Grekami, czyniąc aluzje do nazwy kościoła grecko-orjentalnego.

Irredenta stała się w ten sposób upragnioną rzeczywistością; oznaczała zaś w życiu codziennem teror i masowy mord. Bo nietylko w Azji Mniejszej mordowali mahometańscy Turcy i Kurdowie ormiańskich chrześcijan, ale w europejskiej Turcji wyrzynali w pień raz Serbowie Bułgarów, raz Bułgarzy Serbów, wspólnemi zaś siłami obaj Greków. W wielkiej wojnie walczy Bułgarja ponownie o swą irredentę i przegrywa. Macedończycy obecnie mają ograniczony wybór. Muszą być Serbami albo Grekami. Bułgarami im być nie wolno — przynajmniej do następnej okazji.

Ostatnia irredentystyczna wojna grecko-turecka (1920—1923) stworzyła w swoich następstwach eksperyment najciekawszy: zbrodnię, urągającą w imię nacjonalizmu nietylko zasadom etyki chrześcijańskiej, na którą nacjonaliści tak często się powołują, ale nawet etyce religijnej plemion pogańskich, szanujących mimo wszystko to, co nazywa się ojcowizną.

Walka poszła o panowanie w Azji Mniejszej, bo Grecja pragnęła przyłączenia Smyrny i zajęcia paru portów, gdzie od wieków kupiectwo greckie dość znaczną grało rolę. Z politycznych i gospodarczych powodów „musiała" równocześnie pożądać dość znacznych obszarów, stanowiących „Hinterland" upragnionych portów, a zamieszkałych przez ludność turecką. Turcja, zrzekłszy się z fezem zasad Koranu, a przyjąwszy z kapeluszem europejski „patrjotyzm", nie była skłonną do pertraktacji, a już wcale do ustąpienia terytorjów, zamieszkałych przez Turków. Rozpoczęto więc walkę o pozorach zwykłego mordu i rabunku. Grecja przegrała. Przy interwencji politycznej mocarstw europejskich podpisano pakt, skazujący Greków, zamieszkujących Turcję, na wyrzeczenie się od wieków posiadanej ojcowizny i wysiedlenie do Grecji — wszystkich Turków, zamieszkujących w Grecji, na podobną wędrówkę do Turcji. Dwa lata trwała ta deportacja. W ślad za wygnańcami szły głód i zaraza, stwarzając krwawy obraz nędzy i rozpaczy. Ale wynaleziony został środek na rozwiązanie „narodowe" kwestji obszarów o ludności mieszanej. Mimo, że rozdzielono przytem pojęcie narodu od pojęcia ojczyzny, bowiem dla interesu swego narodu opuszczać musiały tysiące posiadaną od wieków ziemię, więc ojczyznę, i wędrować w nieznane strony, stanowiące tylko w ideologji narodowców ich właściwą ojczyznę.

Nacjonalizm triumfuje, ale prawdziwy patrjotyzm — miłość ojczyzny — złożony został na tym nowożytnym pogańskim ołtarzu. Milczą tylko ci, których wysiedlono, narówni Grecy i Turcy, podobnie, jak milczy europejski nieznany żołnierz. Lepiej dla tych, którzy go z takim hałasem czczą.

* * *

Narodowościowa karta Europy podobna jest do fantastycznej mozaiki, w którą złośliwość dziejów wplotła cały szereg obecnie narodowo uświadomionych ludów. W imię realizacji szczytnego ideału wolności powstały niezależne politycznie państwa.

Podzielono mozaikę, przez co jednak mozaiką być nie przestała. Nacjonalizm II-go stopnia ogarnął obecnie całą Europę, wciągając w sferę swych działań, poza irredentą, także — dla tem większej komplikacji — sprawy gospodarcze. Bałkan przestał być pojęciem, a stał się panującą atmosferą. Wątpiącym polecić należy jedynie spędzenie godziny nad kartą Europy. Niech zastanowią się nad sprawami Tyrolu, Dalmacji, Trjestu, Besarabji, Austrji, Alzacji, hegemonji 6 miljonów Czechów nad 8 miljonami mniejszości narodowych, aspiracyj włoskich do Korsyki, Nicei i Tunisu, nad sprawą Irlandji, Kowna, Wilna, Siedmiogrodu i t. d. i t. d., a zrozumieją może, że dwa są tylko sposoby rozwiązania: Hegemonja silnych albo federacja wolnych z wolnymi. Trzecią możliwością, na co zda się zanosić, jest Anarchja i Wojna.

Henryk Koźmian.

Paryż, w listopadzie 1926 r.

Kościół katolicki w Rosji

i polityka komunizmu wobec religji.

Nietylko dla katolików, lecz także dla ogółu Polaków nie może być obojętnym los kościoła katolickiego w Rosji, gdyż pod jego opiekuńczym płaszczem skupia się przeważnie ludność polska, zamieszkująca olbrzymie terytorjum republiki sowieckiej. Problem sam przez się jest ciekawy znowu o tyle, że jest wyrazem ustosunkowania się doktryny materjalistycznej względem naturalnych aspiracyj duszy ludzkiej. Bolszewizm — połączenie doktryny materjalizmu dziejowego Marksa, syndykalizmu francuskiego oraz wychowanego w Rosji anarchizmu — z istoty swej jest wrogiem wszelkiej idei religijnej, uważając religję za przesąd ludzkości oraz środek wyzysku klasowego. W styczniu 1923 r. w numerze propagandowego organu bolszewickiego „Bezbożnik" w ten sposób określono zadania bolszewizmu: „Pozbyliśmy się cara ziemskiego, ale pozostał nam jeszcze car niebieski, z którym musimy także zrobić porządek". Te bluźniercze słowa wyraźnie charakteryzują politykę bolszewików względem religji.

Artykuł 13 konstytucji republiki sowieckiej proklamuje szumnie wolność sumienia, ujmując ją temi słowy: „Celem zapewnienia robotnikom rzeczywistej wolności sumienia, kościół zostaje oddzielony od państwa, szkoła od kościoła, a wolność propagandy religijnej i antyreligijnej zagwarantowana jest wszystkim obywatelom". Jakżeż inaczej wygląda rzeczywistość!

Bliżej określa pojęcie tej „wolności" i „rozdziału" dekret z dnia 23 stycznia 1918 r., który w 13 artykułach przeprowadza całkowitą laicyzację życia państwowego, kasując wszelką przysięgę o charakterze religijnym, zabraniając nauczania religji w szkołach publicznych i prywatnych a także stanowiąc, że „akty rządu i innych instytucyj prawno-publicznych nie mogą być połączone z żadnym rytuałem religijnym". Tenże dekret wprawdzie nie kasuje stowarzyszeń religijnych, ale traktując je tak, jak każde inne — odbiera im osobowość prawną, odbiera im wszelką własność a jedynie w drodze łaski wyjątkowej zezwala na „używanie bezpłatne" zabudowań kościelnych i innych przedmiotów, będących odtąd własnością społeczną na cele kultu religijnego.

Te zasadnicze postanowienia dekretu były wielokrotnie uzupełniane nowemi przepisami w ciągu następnych lat. A więc zabroniono wszelkich aktów religijnych w miejscach publicznych, zawieszania obrazów w restauracjach i sklepach, wreszcie zabrano się do znieważenia relikwij świętych.

Ponieważ nie wolno nauczać religji w szkole, przeto duchowni nie mają tam dostępu pod żadnym pozorem, a więc chociażby nawet przestali już pełnić swe funkcje.

Posunięto się nawet dalej, bo wogóle wszelkie nauczanie religji jest niedozwolone dla młodzieży, która nie skończyła jeszcze lat 18. Po tym wieku zezwolono tylko na konferencje prywatne i lekturę religijną pod warunkiem jednakże, że nie będzie to miało charakteru systematycznej nauki szkolnej. Tymże ograniczeniom poddano studja teologiczne, zmierzające do przygotowania przyszłych kapłanów. Zasadniczą ideologję tych zarządzeń oświetla jeden z wybitniejszych komunistów temi słowy: „Rząd sowiecki zapewnia wolność sumienia dla dorosłych, lecz ta wolność sumienia dla rodziców równałaby się wolności zatrucia ducha ich dzieci tem opjum, jakiem ich zaraził kościół".

Zabraniając nauczania religji w szkołach, sowiety zdawały sobie sprawę z tego, że celu nie osiągną, skoro duchowieństwo będzie mogło działać swobodnie przynajmniej w świątyniach. Przeto posunięciem dalszem w realizacji bezbożnego programu było wypracowanie statutu z roku 1922 o stowarzyszeniach religijnych.

Pozbawione już dekretem z 1918 roku osobowości prawnej, obecnie na mocy statutu zyskują one za to bardzo rozległe granice ingerencji w dziedzinie kultu religijnego. Statut bowiem przewiduje, że tylko stowarzyszenia, złożone przynajmniej z 50 osób zamieszkałych w tej miejscowości, gdzie znajduje się kościół, mogą organizować nabożeństwa religijne, zawierając z państwem kontrakt o prawo używania świątyni, angażując odpowiedniego duchownego i biorąc odpowiedzialność wobec państwa za przestrzeganie jego przepisów. W takich warunkach los kultu religijnego w jakiejś miejscowości zawisł faktycznie od dobrej czy złej woli zainteresowanych, a duchowni są całkowicie zdani na łaskę i niełaskę ludności. Nie biskup posyła duchownego—ani też sam nie jest niezależny, bo jeżeli pierwszego w myśl statutu ma wybierać stowarzyszenie lokalne, to drugi jest wybierany przez kongresy prowincjonalne tychże.

Ogólne przepisy prawne o stowarzyszeniach dotyczą i katolików.

Duchowni wogóle — a tem samem i katolicy, są upośledzeni w swych prawach obywatelskich. Wprawdzie konstytucja przyznaje wszystkim obywatelom równe uprawnienia, to jednakże ta sama konstytucja w art. 65 pozbawia duchownych i zakonnice biernego jak i czynnego prawa wyborczego. Takie postawienie sprawy uzasadnia komisarjat sprawiedliwości następującemi słowy: „pracownicy kultu, będąc oddani zajęciom nieproduktywnym i nie czerpiąc środków swej egzystencji z pracy w znaczeniu prawa robotniczego i wiejskiego, nie mogą korzystać z pełni praw obywatelskich, jaką się cieszy ludność robotnicza republiki".

Los klasztorów zawisł od decyzji sowietów lokalnych. Dobra skonfiskowano na rzecz państwa. Same zgromadzenia zakonne winny być „wspólnotami rolnemi", będącemi pod nadzorem państwowych władz agrarnych oraz oddanemi „pracom produktywnym". Religja, jaką wyznają członkowie takiej komuny, jest dla państwa obojętną. Mogą korzystać ze świątyń i domów modlitwy, byleby nie czerpali z tego źródła żadnych dochodów, czyli, żeby nie pobierali żadnych opłat za posługi religijne. Zarządzenia te dotyczą więc także zgromadzeń religijnych katolickich.

Ze wszystkich religijnych przepisów bolszewickich przebija ich zasadnicza przyczyna: — religja jest potężną ochroną kapitalizmu i służy mu za narzędzie wyzysku warstw pracujących. Chcąc więc obalić sam ustrój, należy zniszczyć jego podstawę. Konsekwentnie też tezę tę realizują, starając się uniemożliwić dalszy rozwój religji, a istniejącą dotychczas zniszczyć i wyrwać. Skoro bowiem wyrwie się z sumienia ludzkiego pierwiastki moralno - religijne, wtedy konsekwentnie materjalizm staje się podstawą całej działalności człowieka. W całem tedy prawodawstwie przebija materjalistyczny światopogląd, zaczerpnięty z materjalizmu dziejowego Marksa, i z niego walka z religją bierze swój początek. A chociaż prawo bolszewickie ma na względzie kult religijny wogóle — to jednakże bolszewizm specjalnie gnębi kościół katolicki.

Czyni to dla dwóch powodów: przedewszystkiem obawia się kościoła w dziedzinie społecznej. Dygnitarze sowieccy zdają sobie dokładnie sprawę z roli katolicyzmu w życiu społecznem, i wiedzą, że katolicyzm ma całkowicie opracowany program przebudowy społecznej, program realny i zdolny pociągnąć szerokie masy robotnicze. Wyraźnie to wypowiada słynny komunista Stjepanow w pracy swej „Zadania i metody propagandy antyreligijnej": „Katolicyzm nigdy nie zaprzeczał w swej praktycznej działalności — pisze Stjepanow — obecnych potrzeb ekonomicznych klasy wieśniaczej i robotniczej, lecz bardzo zręcznie uczynił, że masy przyjmowały warunki burżuazji — podtrzymując tą drogą swój wpływ i zachowując miano obrońcy uciśnionych".

Powtóre gnębi bolszewizm kościół katolicki, bo dopatruje się w nim ostoi polskości. Sowiety pamiętają dobrze czasy rządów carskich w królestwie kongresowem i wiedzą, że naród w ciężkich czasach prześladowań i udręk szukał opieki w kościele katolickim, że martyrologja narodu — to martyrologja kościoła i odwrotnie.

Miejmy jednakże nadzieję, że jak przetrwał kościół prześladowania carskie, przetrwa i bolszewizm. Runął carat... tron w proch się rozsypał... a kościół katolicki rozwija się. Runie i bolszewizm — ufa kościół, bo przyrzekł mu jego założyciel: „Ufajcie, jam zwyciężył świat!"

Ks. Dr. A. Roszkowski.

Zagraniczne pożyczki samorządowe

Miasto Łódź rozpoczęło w r. 1925 budowę kanalizacji. Rozpoczęło ją bez zapewnienia sobie kapitału i bez nadziei uzyskania pożyczki na ten cel. Nie chcemy twierdzić, że zarząd miasta i większość rady miejskiej nie zdawały sobie sprawy z rozmiarów dzieła, którego koszt według bardzo skromnie i oszczędnie sporządzonego kosztorysu wynosić ma okrągło 90 miljonów złotych w złocie, czyli około 18 miljonów dolarów, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że na decyzję władz miejskich wpłynęły przedewszystkiem względy natury politycznej, że podjęcie robót kanalizacyjnych miało być środkiem, prowadzącym do celu zgoła innego, z kanalizacją i europeizacją miasta nie mającego nic wspólnego.

* * *

Nie mamy zamiaru wnikać w motywy, które skłoniły ojców miasta do podjęcia robót kanalizacyjnych — faktem jest, że roboty te zostały w roku ubiegłym podjęte i w roku obecnym są kontynuowane.

W roku ubiegłym prowadzono je wyłącznie za pieniądze uzyskane od rządu tytułem pożyczki i ze względu na zatrudnienie bezrobotnych w roku bieżącym oprócz kredytów rządowych także i miasto zdołało już osiągnąć pewne wpływy na ten cel.

Ogółem w pierwszym i drugim roku wydatkowano po 4 i pół milj. złotych przeciętnie na budowę kanalizacji. Ponieważ zaś kosztorys samej kanalizacji wynosi około 9 miljonów dolarów, czyli około 80 miljonów złotych papierowych, przy tem tempie pracy a raczej przy dotychczasowej wydajności źródeł finansowych, prędzej jak za 15 lat ukończenia robót kanalizacyjnych spodziewać się nie można. I ten termin przyjęty jest z pewnym optymizmem i z nadzieją, że w międzyczasie koszta nie wzrosną i że przed ukończeniem budowy całej sieci będzie można eksploatować gotowe części i dochody obracać na powiększenie rocznych budżetów budowy.

* * *

Co się jednak stanie, jeśli rząd nie będzie w możności zasilać kredytami robót kanalizacyjnych w Łodzi? Budżet 4—5 milj. zł. rocznie jest minimalny. Jeśli ta suma nie będzie zapewniona, koszt robót zacznie wzrastać. Uzyskanie zaś takiej kwoty przez powiększenie istniejących lub wprowadzenie nowych podatków jest wykluczone.

* * *

Charakterystycznem jest, że władze miejskie dopiero teraz, po dwuch latach, na serjo zaczynają zastanawiać się nad zagadnieniem sfinansowania robót kanalizacyjnych. Dopiero teraz, gdy zaistniała obawa, że rząd już w przyszłym roku może odmówić pomocy kredytowej i nie będzie na to żadnej rady.

* * *

Pożyczka zagraniczna. Niezliczona ilość ofert leży w Magistracie — moc pieniędzy wydano na wynagrodzenia dla pośredników. Ale z tem wszystkiem nie dotarto nawet do przedpokoju instytucji, która mogłaby wchodzić w rachubę jako dająca pożyczkę.

Poprostu śmiesznem były te wszystkie „rokowania" pożyczkowe z „osobistościami", co do których trzeba było zasięgać informacji w biurach wywiadowczych, bo nikt, ani ich, ani reprezentowanych przez nich „grup" nie znał. Tak, jakby aż tak wiele było na świecie instytucyj finansowych, szukających gwałtownie odbiorców na 10 do 15 miljonów dolarów w gotówce.

* * *

Nie zabieraliśmy w sprawie tej głosu, ponieważ nie sądziliśmy, by ktokolwiek traktował ją na serjo. Magistrat łódzki udawał, że zabiega o pożyczkę zagraniczną na budowę kanalizacji, w gruncie rzeczy nie chciał takiej pożyczki. Wierzył, że rząd nadal w interesie walki z bezrobociem subsydjować będzie jego poczynania i że w ten sposób tanim kosztem znaczna część robót kanalizacyjnych będzie wykonana.

Dziś jednak władze miejskie na serjo poczynają zastanawiać się nad kwestją pożyczki. W tych dniach odbyła się w magistracie konferencja. Magistrat spodziewał się, że zgromadzeni na tej konferencji przedstawiciele miejskich sfer gospodarczych zaświadczą, że uzyskanie pożyczki na roboty kanalizacyjne jest koniecznością. Stało się inaczej. Stwierdzono, że zaciąganie pożyczki zagranicznej byłoby w obecnych warunkach nieodpowiedzialnem szaleństwem, nawet gdyby bez pożyczki przyszło roboty przerwać.

* * *

Nie wiemy, jak zapatrują się na tę sprawę miarodajne czynniki rządowe. Do niedawna bowiem panowała tam opinja, że pożyczki należy brać, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto chce pożyczyć. Pod wpływem tej opinji dopuszczono, że stało się wielkie głupstwo i wielka szkoda z pożyczką Ullen'owską dla kilku miast i pod wpływem tej opinji starano się wywrzeć nacisk na Łódź, by czemprędzej zaciągnęła pożyczkę, grożąc jej wstrzymaniem pomocy kredytowej rządowej.

* * *

Nie podzielając całkowicie motywów, solidaryzujemy się z opinją wspomnianej konferencji. Samorządom nie wolno zaciągać zagranicą pożyczek inwestycyjnych przedewszystkiem dlatego, że pożyczki takie stanowią obciążenie waluty. Walutowo są one całkowicie bierne, a kraj o słabej walucie jeśli przyjmuje pożyczkę zagraniczną, to tylko na zabezpieczenie waluty lub na takie cele, które mogą stać się źródłem dopływu walut zagranicznych, a więc na inwestycje lub sfinansowanie obrotów w takich gałęziach produkcji, które następnie wezmą udział w eksporcie i na tej drodze zdobywać będą waluty na oprocentowanie i amortyzację pożyczonego kapitału.

Prezes Banku Rzeszy niemieckiej Dr. Schacht specjalnie swego czasu jeździł do Ameryki, aby zobowiązać tamtejsze instytucje finansowe, że samorządom niemieckim, do czasu zmniejszenia się zapotrzebowania kredytowego przemysłu, żadnych pożyczek nie udzielą.

Kanalizacja i wodociągi, to rzeczy piękne i niewątpliwie pożyteczne i konieczne, ale nie za obce pieniądze. To są roboty o charakterze publicznym. W państwie, w którem blisko 100 miljonów wydaje się na zapomogi dla bezrobotnych, nie wolno zaciągać zagranicą pożyczek na roboty publiczne.

ZIEMIA DLA KOLONISTÓW POLSKICH WE FRANCJI.

Mieliśmy sposobność rozmawiać w tych dniach z p. ministrem Targowskim, prezesem Polskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego, który właśnie ukończył wstępne pertraktacje z poważną grupą finansistów francuskich w sprawie utworzenia polsko - francuskiego towarzystwa kolonizacyjnego, któreby miało na celu ochronę interesów emigrantów polskich we Francji lub kolonjach francuskich w sensie podniesienia ich statutu cywilnego na gruncie francuskim.

Towarzystwo to, według informacyj p. Targowskiego, będzie dążyć w pierwszym rzędzie w kierunku ułatwiania polskim emigrantom rolnym osiedlania się na terenie Francji przez nabywanie lub wydzierżawianie odpowiednich gruntów. Wzmocni to, jego zdaniem, zarówno siłę produkcyjną takiego emigranta, jego zmysł oszczędnościowy, a zarazem będzie trwałym cementem socjalnym i etnicznym, łączącym Francję i Polskę. Wobec gwałtownego wyludniania się wsi francuskiej na korzyść miast, napływowe masy rolników polskich do Francji nietylko więc zabezpieczą na przyszłość ciągłość francuskiej produkcji rolniczej, ale na wypadek jej wyludniania lub nawet wojny, staną się one owym odmładzającym, ulepszającym rasę francuską i zabezpieczającym elementem.

Pan minister Targowski wychodzi z założenia, że odpowiednia organizacja tego elementu w ramach zakreślonych przez cele jego towarzystwa, posiada pierwszorzędne znaczenie dla obu krajów, zarówno polityczne, jak i gospodarcze. Z punktu widzenia politycznego musi Polska pamiętać, że wobec braku naturalnego przyrostu Francji, może ona stać się za lat kilkanaście państwem etnicznie słabem vis-á-vis Niemiec, których ludność bardzo szybko się rozmnaża, rolą więc Polski, jako aljantki, jest baczyć, by ta siła odporna Francji nie została zachwiana. W tym więc celu usadowienie polskich emigrantów na roli francuskiej, z siłą ich rozrodczą bardzo intensywną, może stanowić bardzo poważne dla obu krajów gwarancje polityczne. Pod względem gospodarczym wychodźcy tak zabezpieczeni, staną się nietylko ostoją francuskiej wytwórczości rolnej, ale warstwą, mogącą w znacznym stopniu podnieść zmysł oszczędności, zarówno w ich interesie, jak i w interesie obu zainteresowanych krajów, jak to ma miejsce w Ameryce Północnej. Na nasze wychodźtwo należy więc patrzeć jako na objaw korzystny i odnosić się doń z wiarą i dumą, że może stać się tak pożytecznem spoidłem między obu krajami. Z tego względu dotychczasowy pogląd na nie, jako na pewnego rodzaju objaw chorobliwy, jest zupełnie nieuzasadniony a nawet szkodliwy.

Należy się wyzbyć w stosunku do niego dotychczasowej płaczliwości i wyjść z założenia, że jest ono potężnym atutem naszej politycznej i gospodarczej ekspansji.

Rynek pieniężny i giełda

Na prywatnym rynku walut panował w tygodniu ubiegłym zupełny spokój. Obroty były małe, większych tranzakcyj spekulacyjnych nie przeprowadzano. Dolary utrzymywały się na poziomie 8,99 i pół do 9 złotych. Za ruble złote płacono 4,74¼, co przy parytecie 52,70 odpowiada stosunkowi 9 zł. za 1 dolar. Obrót dzienny na giełdzie dewiz wynosił 400 — 315 — 400 tys. dolarów. Większą część tranzakcyj dokonywano dewizami amerykańskiemi, niewielkie obroty robiono gotówką dolarową, dość znaczne dewizami i walutami europejskiemi. Całe zapotrzebowanie pokrywał prawie wyłącznie Bank Polski. Drobne sumy walut przydzielały od czasu do czasu także banki prywatne.

Pomimo dość znacznego zapotrzebowania walut obcych na cele gospodarcze i spłaty licznych zobowiązań zagranicznych, zapas walut i dewiz instytucji emisyjnej nietylko się nie zmniejszył, ale wykazał nawet wskutek znacznego dopływu dewiz z eksportu dalszy wzrost. Aczkolwiek eksport węgla mamy na kilka dalszych miesięcy pomimo ukończenia strajku angielskiego zapewniony a równocześnie powiększa się wywóz drzewa i niektórych innych surowców, to jednak zestawienie naszego bilansu handlowego za październik, wykazujące stosunkowo słabą nadwyżkę eksportu nad importem (204,800,000 złotych obiegowych wywóz, 177,460,000 zł. przywóz) — stanowi groźne memento i nawołuje do starania się zawczasu o kapitały, któreby stworzyły żelazną rezerwę i nie dopuściły do wahań złotego.

Wspomniane wyżej spłaty długów zagranicznych wyniosły w ciągu września, października i listopada 4,750,000 dolarów, czyli 42, 750,000 zł. Poszczególne płatności przedstawiają się następująco: 1) za kupon październikowy 6 proc. poż. dol. z 1920 r. — 587,235 dolarów, 2) odsetki od części długu poaustrjackiego, przypadające na Polskę — 195,004,27 dolarów i 5,264 funtów, 19 szyl., 3) Włochom na poczet długu wojennego z r. 1919/20 — 58,000 dolarów, 4) za kupon bieżący i amortyzację obligacyj 7 proc. pożyczki włoskiej z 1924 r. (tytoniowej) — 28,407,462 lirów, 50 cent., 5) raty amortyzacyjne i odsetki od 8 proc. Poż. Dol. z 1925 r. (Dillona) — w kwocie 2,200,000 dolarów, 6) raty długów wobec firmy Baldwin oraz Serwice Motor Truck Co. w St. Zjednoczonych i firmy Breda we Włoszech oraz raty i odsetki od długu interwencyjnego, zaciągniętego w bankach londyńskich.

Dolary notowano w okresie sprawozdawczym na giełdzie oficjalnej — 8,99, czeki i wpłaty na New Jork 9,00, kabel (wpłata telegraficzna 9,02¾ — 9,03, 9,02 i pół. W grupie dewiz europejskich ujawniły przedewszystkiem wielkie wahania Paryż i Medjolan. Pierwszy, uzyskawszy 20 b. m. wysoki kurs — 33,90, spadł w ciągu następnych dni na 32,30 — 32,10 — 31,12. Medjolan notowano — 37,95 — 37,15 — 37,85 — 37,80. Zwyżka dewizy francuskiej nastąpiła w bardzo szybkiem i zgoła nieoczekiwanem tempie. Przed czterema jeszcze miesiącami notowano funt angielski w Paryżu 245 franków. Do końca października b. r. spadł on na 160 fr., do 15 listopada na 150 fr., a ostatnio przejściowo na 124 fr.—t. zn., że frank francuski podniósł się w stosunku do waluty angielskiej od lipca b. r. prawie o 100 proc. Jako przyczynę tak raptownej zwyżki podają naogół grę spekulacyjną, pochodzącą głównie z giełdy amsterdamskiej a przeniesioną potem na inne rynki europejskie i na rynek francuski. Impuls do rozpoczęcia tej gry dała niedawno uzyskana aktywność francuskiego bilansu hadlowego i nagromadzenie przez rząd francuski w ostatnim czasie wielkich rezerw w walutach obcych i złocie. Jak dotychczas, odbiła się zwyżka franka bardzo szkodliwie na francuskich stosunkach gospodarczych. Już teraz musiały niektóre fabryki zredukować pracę, wielu robotników straciło zajęcie. Istnieje obawa, że przy dalszej zwyżce franka lub utrzymaniu go na obecnym poziomie nastąpi ciężki kryzys gospodarczy, a z nim bezrobocie, niewypłacalność licznych towarzystw. Francuskie sfery finansowe uważają, że naród francuski, mający do zapłacenia 40 miljardów franków podatków, załamie się pod ich ciężarem, jeśli będzie je musiał regulować przy obecnym wysokim kursie waluty krajowej. Dlatego też będą sfery rządowe dążyć do stabilizacji franka na poziomie 150 lub 160 franków za 1 funt szterlingów. Włosi uprawiają nadal politykę silnej deflacji, pomimo to lir ulega wciąż znacznym wahaniom. Bilans handlowy włoski był w miesiącu październiku b. r. poraz pierwszy od długiego czasu aktywny, przywóz bowiem wynosił 1767 milj. lir, wywóz 1827 milj. Ogólnie biorąc wynosił deficyt bilansu handlowego w pierwszych dziesięciu miesiącach b. r. 7 miljardów sto miljonów lir.

Dewiza angielska utrzymywała się początkowo na poziomie wysokim, od 23 b. m. wykazała jednak lekkie osłabienie. Dewiza holenderska w tym tygodniu zmianie nie uległa. Niekorzystny bilans handlowy Holandji, główna przyczyna niedawnych wahań guldena, wykazał w pierwszych dziesięciu miesiącach b. r. saldo passywne w kwocie 593,3 milj. guld.

Belgja wykazywała drobne tylko odchylenia kursowe. Belgijski Bank Narodowy otrzymuje wciąż z Londynu i New Jorku złoto w sztabach na wzmocnienie rezerwy kruszcowej i przystąpi wkrótce do bicia monet złotych, przeznaczonych wyłącznie do tranzakcyj zagranicznych.

* * *

Na giełdzie akcyjnej panowała w tygodniu ubiegłym tendencja słaba, przerywana tylko od czasu do czasu pewnem wzmocnieniem wskutek zakupów kulissy. Zainteresowanie było minimalne, nastrój wyczekujący. Nawet Starachowicami robiono tylko małe obroty. Papiery państwowe miały tendencję zwyżkową, przy transakcjach umiarkowanych. Dla listów zastawnych i obligacyj usposobienie było niejednolite. Na giełdzie prywatnej ruch również znacznie osłabł. Zawierano transakcje tylko najpopularniejszemi papierami i to w ograniczonej ilości. Transakcje terminowe ustały prawie zupełnie.

Prosimy naród polski, bogatych i biednych...

Dnia 20 listopada minął rok od śmierci Stefana Żeromskiego. Przyjaciele i wielbiciele Mistrza święcili ten dzień żałobnem wspominaniem, składaniem kwiatów na mogile i smutkiem wielkim, który wyraził się prostotą słów serdecznych, pełnych niewygasłego uczucia, pełnych miłości dla Wielkiego Człowieka.

I prawie dziwnem wydawało się zebranym, że to już długi rok przebiegł po ziemi polskiej, że to już druga jesień strząsnęła liście z cmentarnych drzew.

Ze zdumieniem, pośpiesznie robiono bilans spraw, wydarzeń i czynów, które znaczyły dni, tygodnie i miesiące od chwili, gdy odszedł od nas ten Człowiek, Twórca i Nauczyciel.

Bo oto, gdy On spoczywał po trudach swego życia, po męce swojej duszy — śmierć wybierała najlepszych jego towarzyszy broni. Reymont, Kasprowicz, Słoński... Gdy tak śnił swoją dumę o hetmanie na cichym cmentarzu w wiosenne dni i noce, po Polsce przewaliła się burza i mocne, hetmańskie ręce ujęły ster dusz i sumień. Wśród klęsk więc i głośnego tumultu zeszedł ten rok, a śmierć i odrodzenie splatały się ze sobą wieńcem. Nie staliśmy się wprawdzie ponad śnieg bielsi, a dzieje naszych grzechów są pełne wstrząsających scen, ale podjęliśmy już walkę z szatanem i wierzymy w zwycięstwo.

Z taką to cichą spowiedzią przywarły nasze serca do mogiły Mistrza. Ale, gdyśmy tak stali smutni, a dumni jednocześnie, gdyśmy tak wyczarowywali jego postać ponad złogi ubitej gliny, ponad zieleń darni — odczuliśmy wstyd głęboki i palący. Bo słuchajcie tylko: Jest nas spora garść Jego przyjaciół, wielbicieli i uczniów, jest miljonowy naród, który otrzymał od Niego królewski dar Jego ducha — a nikt nie pośpieszył potąd ze skromną choćby daniną, by uczcić go widomie. Tak, są w Polsce „wszystkie stany", które on znał i kochał, i które winny mu wdzięczność za mądre słowo, za odczuwające serce. Więc karmazyny i szlachta, inteligencja i lud miejski i wiejski. Sułkowscy i Cedrowie, Judymy i Ryszardzi, a zwłaszcza masa robocza, która miała w Żeromskim wiernego obrońcę!

Jakżeż mamy inaczej zaświadczyć przed potomnemi pokoleniami, że nie byliśmy głusi na Jego słowa, że w sercach naszych był rezonans Jego wielkiej wiary? Jakżeż inaczej, jak wzniesieniem pomnika, trwałej pamiątki na dalekie jutro!

Inicjatywa wyszła już ze sfer literackich i artystycznych. Rzucono krótką, lecz wielomówną odezwę. Brzmi ona:

„Dzisiaj mija rok od dnia, w którym odszedł Stefan Żeromski, przepełniwszy życie miłością tej ziemi i walką o powszechną wolność. Dobierał najczystszych słów naszej drogiej mowy, aby przekazać wiecznej wdzięczności i dumie szczęśliwych pokoleń bezimienną świętość i męczeństwo, schodził do najciemniejszych otchłani życia, aby z nich wynieść światło wzniosłości. W Warszawie, której stołeczność w nas rozszerzył, bo uczcił i wysławił jej cierpienie i niepodległość, jest jego pośmiertny dom — do niego iść będą zawsze myśli po radę serca, po miłość. Prosimy naród polski, bogatych i biednych i tych, których nauczał, aby wzniósł Stefanowi Żeromskiemu pomnik, świadczący Jego cieniom o naszej niewypłaconej Mu za życia wdzięczności".

Cóż tu jeszcze dodać, czem goręcej poprzeć myśl? Wszyscy chyba wiemy, że trzeba to uczynić szybko i sprawnie. Niech się nie wloką nasze zamiary z leniwą nieporadnością. Ile kto może — obywatele! W biurach i warsztatach, w samorządach i prywatnych przedsiębiorstwach, w uczelniach i szkołach, w związkach i klubach niech się zorganizuje składka chętna i raźna. Redakcje pism otworzą specjalną rubrykę, w których długa litanja nazwisk zaświadczy, że naród polski zna, kocha i na wieczne czasy wielbi swoich wielkich obywateli.

Czytelnicy „Prawdy"! Wiem, że nie trzeba was namawiać i przekonywać. Sami rozumiecie, że w drugą rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego stanąć powinien jego pomnik.

Właśnie wyszła przepiękna książka Stefana Żeromskiego: „O Adamie Żeromskim wspomnienie" (Wydawnictwo J. Mortkowicza. Tow. Wyd. w Warszawie). Książka ojca o ukochanym, przedwcześnie zmarłym synu. Powinno się ją poznać, powinno się raz jeszcze przekonać, jakiem było to serce, mężne w bólu, rozumne i wytrwałe. Powinno się jednak książkę tę rozchwytać także dlatego, że całkowity wpływ ze sprzedaży przeznaczony jest na fundusz uczczenia pamięci Stefana Żeromskiego. Wydano „Wspomnienie" w 5000 egzemplarzy po 3 zł. Może to dać 15,000 zł. i zasilić znaczną bądź co bądź kwotą fundusz składkowy. Dodam jeszcze, że „O Adamie Żeromskim wspomnienie" wyszło pierwszy raz w r. 1919 w nakładzie 55-ciu egzemplarzy, wytłoczone jako rękopis dla grona osób, które — jak pisze wydawca — „łaską miłości, przyjaźni i opieki darzyły ś. p. Adama Żeromskiego".

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do sprawy pomnika. Rzucono już hasło, myśl jest wszystkim zrozumiała i przystępna — trzeba tylko podjąć ją sercem i wdzięczną wolą.

J-a Stycz.

Dnia 23 listopada b. r. otworzono w Gdańsku Brytyjsko - Polski Bank Handlowy S. A. z tymczasowym kapitałem zakładowym 3-ch milj. guldenów gdańskich. Większość akcyj obejmuje Bank Gospodarstwa Krajowego, resztę zaś grupa angielska z Anglo - Internationalbank na czele. Nowa instytucja finansować będzie przedewszystkiem polski eksport i import.

W najbliższym już czasie rozpocznie swoją działalność nowozałożony Bank Amerykański w Warszawie, związany ściśle z grupami, dzierżawiącemi nasz monopol zapałczany, mianowicie z The International Match Corporation i Svenska Tändsticksaktiebolaget. Bank ten, posiadający wielkie kapitały, rozwinąć ma podobno oprócz innych swych czynności jeszcze rozległą działalność kredytową wobec polskiego przemysłu i handlu.

Awil.

PRZYJACIELE

(Nowela)

Leżąc w łóżku, do połowy ciała owinięty kocem, czyta „Jana Krzysztofa". Zegarek na stoliku, zwrócony okrągłą buzią ku swojemu właścicielowi, skanduje dobitnie, metalicznie, cienko. Józef czuje się wcale dobrze w tej pozie mumji. Jest zmęczony po meczu i czyta szparkami oczu. Odkłada książkę na kolana Kartkami na dół a okładką do góry. Robi się w ten sposób mały, czerwony daszek i książka nie jest już potrzebna, staje się figurą geometryczną mało skomplikowaną, nieciekawą.

Józef czeka na powrót przyjaciela, który zawieruszа się ostatniemi czasy prawie co noc. Takie czekanie jest nadwyraz przykre, ale Józef kocha Henryka, jak nikogo na świecie i tęskni za przyjacielem. Głupie to słowo: tęskni, lecz jakże inaczej nazwać niecierpliwość oczekiwania i gorączkę niepokoju, która męczy, nie pozwalając zasnąć nawet po tak morderczo footbalowym dniu.

— Dlaczego tak mało pisze się o przyjaźni? Możeby ludziom, umiejącym pisać, nie brakło dobrych, żywych określeń na wyrażenie tego gorąca i przytulenia się do siebie przyjacielskich serc. Nie, nie tylko serc. Uczucie przyjaźni jest uchwytne, wyraża się niemal fizycznie.

— I jakże smutna byłaby moja samotność, gdybym nie kochał Henryka!

Józef rozpamiętuje wieczorne spacery w szaro-zieloną głąb alej parku. Równy, jednaki takt nóg, słabe ramię przyjaciela ujęte jego twardą, prawie brutalną ręką. Blade, duże usta Henryka bledną jeszcze więcej w zapadającym mroku. Gdy mówi, lekki przydech zdradza jego organiczną wadę serca.

Właściwie nigdy nie jest ważne to, co mówi Henryk. Nie ma to nic wspólnego z radosnem uczuciem, jakie zapełnia serce Józefa. Ważne jest tylko, że można chodzić razem pod rękę, a jednak myślą odbiegać na drogi parku, na rozwichrzenie czubów drzew, na skwery, na czerwone koraliki kwiatu begonji. Profil przyjaciela rysuje się w tęczowej obwódce zmierzchu, a oczy, wgłębione pod daszkiem brwi, patrzą także przed siebie, dla siebie.

Gdy siedzą potem przy stoliku w cukierni, Józef widzi i na wieki w pamięci utrwala czarne, lśniące, gładko przyczesane włosy Henryka, jego czoło wysokie i nierówne, skronie tak wielkie i wklęsłe, jak dłoń dorosłego człowieka. Blade niebieskie oczy przyjaciela odbijają światło lamp, jak woda.

Oczy Henryka są czasami bezbarwne, niepatrzące i niewidzące. Józef wie, że to choroba serca, że to strach podświadomy i nagle zamierające tętno przesłaniają mgłą źrenice przyjaciela. A wtedy opanowuje Józefa ten dziwny płomień egzaltacji, taka podwójna, poczwórna miłość dla Henryka. Podzieli się zdrowiem, odda rozważny, spokojny stukot swojego serca. I, wpatrując się w zmętniałe oczy przyjaciela, wczepia się w szkliwo tych prawie już białych źrenic. Jakże trudno zahaczyć o gładkie gałki oczne! Jak mozolnie wwiercać się przez nie do biednego serca przyjaciela!

Ale Józef jest przekonany, że transfuzja zdrowia jest możliwa. Chłopak wierzy, że przecież po to jest przyjacielem, by podzielić się zdrowiem, jak chlebem, jak groszem. Weź — pożyw się, zaciągnij powietrzem!

I kiedy tak wytęża wolę i gromadzi siłę swojej serdecznej miłości, widzi iszczący się cud, bo oto Henryk ożywa, oczy jego błękitnieją, jak kwiat barwnika o zmierzchu. Natomiast on sam, sprawca tego cudu, słabnie i dyszy, jak po spełnieniu ciężkiej, fizycznej pracy.

Przyjaciel nie wie oczywiście nic o tych ukrytych manewrach Józefa. Nigdy nie zdradzi mu tajemnicy, nie wyjawi wysiłku, ani pochlubi się mocą, którą już tylekroć przytrzymał — jak sądzi — drogie życie Henryka.

— Gdyby nie ja — myśli rzewnie — gdzieżby już był teraz?

Józef uśmiecha się ze łzawem pobłażaniem, wspominając, jak niewdzięczny jest Henryk. Bo właśnie po takiej „transfuzji" uratowany przyjaciel staje się złośliwy, zrzędliwy, przykry. Zaledwie bowiem mija chwila przedśmiertnej trwogi, zaledwie fala zbawczego oddechu rozpędzi nawałę duszności, Henryk obrzuca go drwinami, zagarnia cały pokój dla siebie, z szafy wymiata przyrządy sportowe Józefa, których tak bardzo nienawidzi.

Toczą się wówczas zawzięte walki o byle co. A Józef cierpi, świadom swego wielkiego poświęcenia. Jest zresztą dumny z tych cierpień i ofiar, a kłócąc się ząb za ząb, patrzy na energję przyjaciela, jak na swoje dzieło. Ulega mu wreszcie, ulegając niby samemu sobie.

Przyjaciele kłócą się zresztą dość często. Bowiem Henryk nie jest ani wierny, ani bezinteresowny. Myśli: będę żył krótko, niech z tego życia zagarnę jaknajwięcej. Jego kapryśność jest despotyczna, ale Józef ma tę podstępną radość, że w istocie Henryk związany jest z nim tajemną nicią, że trzyma go przy sobie mocniejszą nad śmierć przyjaźnią.

I jest tak między tymi młodymi przyjaciółmi, jak nakazały prawa przyrody. Jeden daje, by drugi brał, a dawcą pogardzał i bodaj go nienawidził.

Więc kłócą się nierzadko. Mówią wtedy głośno, krzyczą. Pokoik na mansardzie napełnia się prawie widocznemi falami gniewu. W głowach młodzieńców rozpalają się płomyki nienawiści. Od łomotu rzucanych przedmiotów drżą szyby w oknie.

Józef, myśląc o tem w tej chwili, rozżala się nad sobą, nad niedocenionem uczuciem, osamotnieniem i swoją bezradnością, skoro przyjaciel jest niewiadomo gdzie, poza obrębem jego serdecznej pomocy. Żal przemienia się w gniew.

— Bydlę! Już północ blisko, a jego jeszcze niema!

Łóżko Henryka stoi przy przeciwległej ścianie i jest starannie zasłane kocem niebieskim w białe pasy. Na lewo od łóżka otwarte okno prześwietlone ciemnoszafirowym blaskiem pogodnej letniej nocy. Bo okno mansardy pięciopiętrowego domu całą płaszczyzną styka się z niebem.

Na podłodze pod oknem leży niby duży orzech kokosowy skórzana piłka, a przy łóżku Józefa stoją zmordowane, grubą warstwą pyłu pokryte buciki sportowe. Dwa ociężałe monstra.

— Przyjdzie może nad ranem. Pewnie z koleżkami w knajpie. Albo u dziewczynek. Obrzydliwe bydlę!

Józef patrzy na buty sportowe i marzy tylko o tem, żeby Henryk teraz, w tej chwili przyszedł. Dopóki nie minie jego słuszny gniew. Potraktowałby go butem w twarz! Zazdrość gorącymi płatami owija mózg chłopca. Henryk jest w tej chwili z kimś innym! Do kogoś mówi, śmieje się. Czy te dziewczęta nie widzą, jaki jest wstrętny?

Józef gasi lampę, rzuca na podłogę tomik „Jana Krzysztofa".

— Usnę, nie będę o tem myślał!

I wgrzebuje twarz w poduszkę aż do utraty tchu. Mija cząsteczka sekundy. Nie, wie przecież dobrze, że nie uśnie. Będzie nasłuchiwać, będzie czekać do rana! Układa się na wznak i nie przymyka powiek. W pokoju jest zielonawy półmrok. Józef widzi dokładnie mętną płaszczyznę sufitu. Okno jest teraz szmaragdowe, olbrzymie, widne. Zegarek wybija szpileczkowy, natrętny takt, a gdy Józef okiem zahacza w bok, widzi świecący radjowy cyferblat zegarka, rozsiewający mżącą poświatę.

Józef nasłuchuje. Rozdziela szmery na płaszczyzny. Tu blisko, niemal przy uchu, skanduje zegarek. W głębi, na dalszym planie niewyraźny, huczący wir ciszy zmącony poszeptem, którym oddycha cały ten dom, zamieszkany przez setki ludzi. A jeszcze dalej, poza obrębem ścian, wrzawa głęboko w dole. To ulica klaszcze nod nogami przechodniów, grzechoce niedościgniony pasaż turkotu dorożek, wyje huragan samochodów.

Ale słuch podchwytuje jeszcze jakieś głosy. Mącą one, przecinają, plączą i łączą wszystkie szepty, idące z dalszych i bliższych przestrzeni. Józef powstrzymuje oddech. Chce zbadać, chce dopomóc uszom. I wtedy stwierdza z niewymowną trwogą, że to jego własne tętno, jego pulsująca krew krąży i krąży i bije głuchem stukaniem w skroniach, w przegubach rąk, w sercu. Przyłapał na czynności tajemny mechanizm życia. Oszołomiony jest dwoistością jego funkcji. Słyszy przecież, jak żyje, jak działa maszyna, jak odmierza rytmicznie mijające chwile.

— Ileż już przeszło tych sekund i minut?

Józef nagłym przerzutem ciała układa się na prawym boku i patrzy prosto na fosforyzujący krążek zegarka, na którym ciemniejsze smużki rozwidlonych wskazówek znaczą godzinę pierwszą.

Szkoła powszechna a gimnazjum

Geneza koncepcji.

Dyskusja w sprawie ustroju szkolnictwa rozgorzała na łamach tak prasy zawodowej, jak i codziennej na dobre. Podstawą do niej stały się wiadomości o projektowanej reorganizacji władz centralnych, a nadto programowe przemówienie wicepremjera Bartla na Zjeździe nauczycieli szkół powszechnych w Warszawie. Rozpoczęła się czasem nawet ostra polemika, posypały się rezolucje najrozmaitszych zebrań, zapowiedzi wieców, jednem słowem sprawa szkolnictwa zaczyna się wysuwać na czoło aktualnych zagadnień, zaczyna interesować ogół społeczeństwa. Wytworzyły się dwa, coraz namiętniej występujące przeciwko sobie obozy zwolenników szkoły siedmioklasowej z jednej strony i z drugiej strony obrońców ośmioklasowego gimnazjum. Chwilami ma się wrażenie, że znajdujemy się dopiero u progu organizowania naszego szkolnictwa, że dotychczas nic o tem, co się działo, nie wiedzieliśmy, że dokonane już sprawy były wynikiem jakiegoś nieporozumienia, że dokonano czegoś wbrew woli społeczeństwa wogóle, a specjalnie nauczycielstwa. A tymczasem jest to tylko nieporozumienie, bo fakt, że nie posiadamy ustawy o ustroju, że gospodarka cała miała charakter tymczasowy, nie dowodzi jeszcze, ażeby to, co zrobiono, nie posiadało pewnych podstaw, autorytatywnej sankcji. Przeciwnie stwierdzić należy, że zasadnicze postanowienia centralnych władz szkolnych opierały się na świadomej woli sfer najbardziej zainteresowanych, bo sfer nauczycielskich, które przez swe kilkakrotne uchwały nadały kierunek pracy Ministerstwa W. R. i O. P. i zadecydowały o takiej a nie innej koncepcji. I to należy w chwili obecnej przypomnieć.

Sankcją ową były kilkakrotne zjazdy delegatów stowarzyszeń nauczycieli szkół wszelkich kategoryj z Królestwa, Poznańskiego i b. Galicji, odbyte w sierpniu 1917 r. w Warszawie, w styczniu 1918 r. w Krakowie, w sierpniu 1918 r. w Piotrkowie, w styczniu 1919 r. w Warszawie i największy z nich zjazd, nazwany Sejmem nauczycielskim, w kwietniu 1919 r. w Warszawie. Na zjazdach tych zapadły jednogłośnie lub prawie jednogłośnie uchwały, na których się oparł program prac władz szkolnych.

Jeśli chodzi o kwestję, która dziś tak roznamiętnia umysły, t. j. o koncepcję siedmioletniej szkoły powszechnej i pięcioklasowego gimnazjum, to za podstawę obrad przyjęto już w r. 1917 następujące tezy:

„Przewidywane są trzy stopnie szkolnictwa:

I. Szkoła powszechna siedmioletnia, obowiązująca w wieku szkolnym od lat 7 do 14.

II. Szkoła średnia: a) ogólnokształcąca 4-letnia, b) zawodowa 2—4-letnia.

III. Szkoły wyższe".

Jak zatem widzimy, sprawę stawiano znacznie radykalniej, przeznaczając na gimnazjum tylko cztery lata. W myśl tej koncepcji wygłaszali referaty przedstawiciele nauczycielstwa wszystkich zaborów. Była to koncepcja, którą uzasadniali nietylko nauczyciele warszawscy, ale również nauczyciele krakowscy i lwowscy tak ze szkół powszechnych, jak i średnich przy współpracy profesorów uniwersytetów. Co więcej, dyskusji nie przeprowadzono tylko ogólnie, ale poparto ją szczegółowemi projektami programów dla siedmioklasowej szkoły powszechnej i czteroletniego gimnazjum. Wprawdzie zjawiały się odosobnione głosy, przemawiające za 8-letniem lub 7-letniem gimnazjum, ale ostatecznie koncepcja bez sprzeciwów przeszła.

W ten sposób w czasie trwającej jeszcze wojny, podczas rządów okupantów stawiano zasady i przygotowywano podstawy dla pracy Ministerstwa W. R. i O. P.

Następne zjazdy stanowisko to zatwierdziły, postanawiając, że szkoła powszechna powinna tworzyć jednolitą całość, że na wsi i w mieście obowiązuje jednakowy typ i t. p. Zaszły tylko zmiany co do czasu trwania szkoły średniej i na zjeździe w Piotrkowie zdecydowano się na wniosek komisji krakowskiej na rozszerzenie gimnazjum do lat pięciu z tą jednak poprawką, że do gimnazjum przechodzićby można już po VI klasie szkoły powszechnej. Rozszerzono również projektowane dawniej dwa typy do czterech. Warto przytoczyć motywy, które decydowały o stanowisku komisji krakowskiej. Przytaczam je dosłownie:

„Pięcioklasowa szkoła średnia opiera się na następujących przesłankach:

1) do 14 a przynajmniej do 13 roku życia kształcenie winno się odbywać w jednym i tym samym typie szkolnym i na tych samych podstawach wychowawczych, aż do tego wieku bowiem — począwszy od 7 roku życia — psychika dziecka zasadniczo się nie zmienia (wzgląd psychologiczno-dydaktyczny),

2) każdy obywatel winien w przyszłości otrzymać minimum wykształcenia: to minimum wykształcenia powinno być równe dla wszystkich, a ponieważ da się ono osiągnąć zaledwie w okresie aż do 14, a przynajmniej 13 roku życia włącznie, przeto aż do tego czasu kształcenie winno być powszechne i jednolite, dopiero zaś począwszy od tego wieku może się ono różniczkować, czyli, że i studjum gimnazjalne wówczas dopiero należy rozpoczynać (wzgląd społeczno - dydaktyczny)".

Do tych argumentów dołączono jeszcze wnioski, wyciągnięte z doświadczeń w szkolnictwie galicyjskiem.

Na tych podstawach oparto organizację szkolnictwa, uwzględniając jednak, że w okresie przejściowym przed ostateczną likwidacją ośmioklasowego gimnazjum program 4, 5 i 6 oddziału szkoły powszechnej powinien być identyczny z 1, 2 i 3 klasą szkoły średniej, która dopiero od klasy IV podlega zróżniczkowaniu na 4 typy.

Ten projekt, jak zaznacza protokół zjazdu, przyjęto olbrzymią większością głosów przy 1 głosie przeciw i 1 wstrzymującym się.

Te zasady zostały również przyjęte, (choć już nie tak jednomyślnie w zakresie szkolnictwa powszechnego), przez Sejm nauczycielski w r. 1919, w którym brało udział przeszło 800 delegatów z całej Polski, ze wszystkich jej dzielnic i ze wszystkich rodzajów szkół.

Tak się przedstawiają w zarysie początki pracy nad organizacją szkolnictwa w Polsce, które, przyjęte lub zainicjowane przez władze szkolne, od pierwszej chwili ich istnienia zostały z niewielkiemi zmianami wprowadzone w życie. Organizacja zatem szkolnictwa powszechnego i średniego w Polsce jest wyrazem uzgodnienia poglądów władz szkolnych i nauczycielstwa, które wspólnie nad nią obradowały. Błędem jedynie w tej całej koncepcji było to, że nie nadano jej trwałej, ustawowej koncepcji. Ponieważ obecnie kierownik Ministerstwa W. R. i O. P., p. wicepremjer Bartel zapowiedział kodyfikację ustroju, nie od rzeczy jest przypomnienie genezy dzisiejszego stanu. Licznym uczestnikom tych zjazdów przypomniano ich dawne argumenty, władzom zaś, że ścisła współpraca z nauczycielstwem wydać może jak najlepsze rezultaty.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga: nie znany jest jeszcze projekt organizacji szkolnictwa wicepremjera Bartla, niewiadomo zatem, jakie ona kształty przybierze, pamiętać jednak należy, że od roku 1917, zwłaszcza szkolnictwo powszechne olbrzymie poczyniło postępy i że te właśnie postępy tworzą realne poparcie dawniej może raczej teoretycznych projektów.

Nik.

Chłopak zacina zęby, bo z piersi wyrywa mu się jęk. Strofuje się jednak, uśmierza westchnienia, łagodzi burzę gniewnych wybuchów.

— Spokojnie, spokojnie. Przecież przyjdzie, przyjść musi!

Pragnie się utwierdzić jakgdyby w niepodzielnem posiadaniu przyjaciela. Tu jest jego dom, tu, może podświadomie wyczuta, opieka i obrona przed zdradziecko atakującą śmiercią.

Prawie uspokojony układa się Józef swobodnie, ręce umieszcza pod głową, przymyka oczy, aby tem czujniej słuch wysłać na zwiady. Łagodna, płynna tęsknota szemrze chłopakowi w sercu. Niech tęsknota wyciąga swoje długie ramiona. Niech się wysmużają daleko, jaknajdalej. Może dosięgną przyjaciela. Może dotkną jego skroni. Może się owiną wokół szyi. Może go oplotą, skrępują i zpowrotem zaciągną do domu.

Józef czuje w sobie tę samą siłę, jak wtedy, gdy wwierca się w oczy przyjaciela, wydzierając go czyhającej śmierci. Więc nie są to już wiotkie wstążki tęsknoty, lecz mocna, jak struna naprężona, wola.

— Wróć!

Czysty, silny dźwięk nakazu. Mocniej, mocniej napiąć strunę! Już idzie do jego serca, do serca przyjaciela. Już przyjaciel wie, już czuje, rozumie i staje się pokorny, powolny jego żądaniu. Gdziekolwiek jest, dosięga go nakaz przyjaciela.

Tak, tak! Józef słyszy teraz wyraźnie. Powstrzymuje oddech, zamarł, stężał i tylko nasłuchuje. Raz, raz, raz — — — kroki miarowe, wyraźne pną się w górę po schodach. Józef zaczyna liczyć. Wie, że stopni jest sto czterdzieści. Idący po schodach przeszedł już dwadzieścia, trzydzieści pięć — pięćdziesiąt — sto —

Józef liczy głośno, a wargi suche, spieczone gorączką uderzają o siebie, wyginają się w kółka, w prostokąty, w elipsy.

— Sto trzydzieści — sto sześćdziesiąt — dwieście — trzysta...

Za dużo, za dużo stopni!

Ale Józef liczy dalej kroki, raz bliższe, raz dalsze stąpania przyjaciela. Liczy z zaciekłą zapamiętałością i kipi gniewem.

— Drwi, drwi ze mnie!

Chce zawołać na niego, chce krzyknąć, lecz nieposłuszne wargi wciąż liczą, liczą, liczą... I liczą jeszcze dalej w tysiączne już cyfry, mimo, że drzwi otwierają się i Henryk wchodzi. Józef widzi go dokładnie. Widzi jego oczy, które są zupełnie białe, niepatrzące, przedśmiertne. Cichym szeptaniem lekkich stóp Henryk zmierza wprost ku łóżku Józefa. Mija po drodze otwarte okno i cały nasiąka szmaragdowem światłem.

Józef jest oszalały z gniewu, lecz miast przykrych słów, miast gorzkich wymówek, zasypuje przyjaciela liczbami, gdyż żadna zda się moc nie zdolna jest powstrzymać potoku cyfr mnożących się w nieomylnym porządku. Oszołomiony, własnem szaleństwem rozjątrzony, Józef wychyla się z łóżka i, zanim jeszcze przyjaciel zdołał się dostatecznie zbliżyć, chwyta but, mierząc celnie w jego głowę.

Lecz jeszcze nie opuścił ramienia, gdy słyszy jakby przy samem uchu, jakby pod własną czaszką ciche, wyraźne słowa:

— Bądź zdrów, Józku!

Na ustach czuje chłodne dotknięcie warg.

— Henryku!!

Szeroko otwarte oczy widzą, jak przyjaciel lekko spłynął na okno i znika w jego zielonej toni.

Józef nie ma nawet czasu na przerażenie. Zarzuca na siebie kec i wybiega na schody. Obudzony stróż niemiłosiernie długo przymierza klucz. Lecz już brama otwarta, już chłód nocy owiewa bose stopy.

— Henryku!

Tak, oto leży tuż przy bramie, trochę skulony. Jest już prawie zimny. Jego białe, niewidzące oczy, otwarte sztywno wchłaniają daleki blask księżyca.

Wezwany lekarz stwierdza najpospolitszy anewryzm serca.

— Upadł przy bramie, nie miał już siły zadzwonić, a przytem upadając, uderzył się w skroń. O tu właśnie ten siny znak. Gdyby nie to uderzenie może, może dałoby się jeszcze coś zrobić.

Józef wpatruje się w ten sino-brunatny znak, przylepiony jakby do skroni, która jest duża i wklęsła, jak dłoń dorosłego człowieka. Przeszedł, odnosi z pokoju but, który tak celnie rzucił w przyjaciela i długo uważnie przymierza gwoździami nabijany obcas do sińca na skroni zmarłego.

I stwierdza obłędną rozpaczą, że półkole obcasa przystaje najdokładniej.

J-a Szyc.

Wędrówka po teatrach warszawskich

Z wystawionych ostatnio w Warszawie premjer na pierwszy plan wybija się bezsprzecznie komedja Jana Serment (w przekł. Z. Rabskiej) p. t. „Najpiękniejsze oczy w świecie", oglądana w Teatrze Małym. Autor nazwał ją komedją, a jednak jest to sztuka przejmująco smutna, jak ponury, zimny dzień, który z mroźnym wichrem i dokuczliwą słotą wtargnął w majową wiosnę: historja cudnej dziewczyny o anielskiem sercu, której „najpiękniejsze oczy w świecie", oczarowawszy dwu mężczyzn, ślepną na zawsze... Ale Lucyna, zanim straciła wzrok, dokonała wyboru. I wybrała nie tego, którego kochała może szczerzej i głębiej, młodego, biednego poetę, lecz eleganckiego literata, który swe uczucie umiał wyrazić tylko słowami, zasłyszanemi od swego rywala i niemi zdobył młode, trochę naiwne serduszko Lucyny. Powtórzyła się więc poniekąd historja z „Cyrana": Artur rozkochał w sobie Lucynę słowami Napoleona, jak Chrystjan Roksanę słowami Cyrana. Ale skutki tej omyłki kształtują się u Sermenta odmiennie, niż u Rostanda.

W drugim akcie Lucyna, od ośmiu lat żona Artura, matka jego syna, jest niewidomą. I żyje — nie: wegetuje — pod brzemieniem dwu nieszczęść. Bo prócz wzroku straciła jeszcze coś równie drogiego: miłość męża. Artur, który tymczasem został głośnym i modnym pisarzem, coraz częściej wyjeżdża do Paryża, uciekając od żony, dla której jedynem uczuciem, jakie może mieć, jest litość... Takie jest życie Lucyny. I w takim stanie znajduje ją ów biedny, odtrącony przez nią poeta, któremu zawód sercowy złamał życie i pozbawił je sensu: marnuje się, jako sprzedawca biletów, nędzny kelner i podejrzany krupier. I oto teraz on, Napoleon, „Napoleon" w łachmanach, zjawia się u tej, której nigdy nie przestał kochać — pomimo wszystko. Nie przypuszczał, nędzarz, ile szczęścia wniesie w smutne bytowanie Lucyny, w której odżywają najsłodsze wspomnienia szczęśliwych dni. Nie przypuszcza i ona, żeby mogła być jeszcze przez kogokolwiek kochana — a tu słyszy u swych stóp pełne upojenia wyznanie miłości... I jest chwila, w której tych dwoje ludzi, tak straszliwie dotkniętych przez los, czuje się szczęśliwymi. Lada sekunda, zda się, padnie odpowiedź Lucyny, że i ona kocha swego „Napo...". Ale w tym momencie wchodzi niespodziewanie Artur i widzi swego dawnego przyjaciela - rywala u nóg żony. W niepohamowanym gniewie rzuca mu w twarz okrutne zniewagi, demaskując bez litości jego upodlenie. A Lucyna słucha i nie chce wierzyć uszom: a więc Artur jest o nią zazdrosny, a więc ją kocha... I ze szlochem szczęścia rzuca się w ramiona mężowi, który po raz drugi odbiera biednemu poecie jego szczęście...

W tem zakończeniu sztuki można było wyczuć pewien zgrzyt. Ta kobieta o anielskiem sercu, która rzuca się w ramiona męża, gdy ten bezcześci człowieka, kochającego ją nadewszystko, a tak ciężko — choć mimowoli — przez nią skrzywdzonego, męża, którego może tylko ambicja a nie miłość została podrażniona, — ta kobieta ma w tej chwili w sobie coś odrażającego. Jeżeli Sermentowi zależało na tem, by psychologicznie umotywować odzyskanie przez Lucynę miłości Artura, to mu się to udało, ale kosztem sympatji widza dla jego bohaterki. O ile jednak chodzi o całość, jest to sztuka bardzo piękna i wzruszająca, tak wzruszająca, że nie łatwo tu było rozróżnić owoc natchnienia utalentowanego poety od roboty nieprzeciętnego majstra scenicznego, z których drugi góruje nad pierwszym.

Gdyby „Najpiękniejsze oczy" były nawet gorszą sztuką, wartoby ją zobaczyć dla gry Malickiej. Jej Lucyna nie mogła mieć więcej uroku wiosny w pierwszym akcie a smętku pięknej jesieni — w następnych. Wątpię, czy Serment znalazł gdziekolwiek lepszą odtwórczynię roli swej bohaterki. Doskonałym jej partnerem był Daczyński, który skomplikowaną postać Napoleona wyrzeźbił równie plastycznie, jak subtelnie. Bez zarzutu był Gawlikowski, jako admirał (ojciec Lucyny), natomiast ponury p. Hierowski (Artur) zgrywał się bez pamięci.

O ile spragniony wesołości widz doznał na smutnej „komedji" Sermenta rozczarowania, o tyle znalazł sowitą rekompensatę w amerykańskiej komedji Hopwooda p. t. „Nasza żoneczka" w Teatrze Letnim. Jest to naprawdę bardzo zabawna krotochwila, a przytem wcale obyczajna. Należy bowiem stwierdzić, że łóżko i dessous coraz rzadziej występują na scenach warszawskich. Chwali to sobie (o dziwo!) Boy, wychodząc z założenia, że „widz przeżywa to' co mu pokazują: jeżeli zatem chodzi o jego wesołość, nie należy mu pokazywać aktów, po których — zdaniem łacinnika — wszelkie stworzenie robi się smutne..." Logicznemu temu rozumowaniu niepodobna odmówić słuszności...

Wracając do „Naszej żoneczki", sympatyczny ten przydomek nosi piękna pani Dodo, która względami swemi obdarza nietylko męża... Ale honny soit qui mal y pense: nieposkromiona zalotność Dodo zatrzymuje się zawsze „nad brzegiem przepaści", do której mają wielką ochotę skoczyć jej nieprzeliczeni wielbiciele. Wreszcie miotany szałem niepewności małżonek chwyta się rozpaczliwego środka: celem przekonania się o wierności żony, namawia swego przyjaciela, którego Dodo zaczyna w niebezpieczny sposób kokietować, by zaprosił ją do siebie. Tymczasem Dodo wcale nie odmawia, lecz właśnie przychodzi. Lecz oto w garsonjerze oblężonego donżuana wywiązuje się iście arabska awantura, gdyż równocześnie odwiedzają go dwie inne córy Ewy, a w ich ślady — dwaj mężowie. Skandal, przygotowania do rozwodu, ale od czego słodka dyplomacja niewieścia: przy rannej kawie mąż kapituluje przed urokiem „naszej żoneczki" i komedja kończy się pogodnie... nowym flirtem Dodo z adwokatem, który miał przeprowadzić rozwód... Kawalerowie wszystkich krajów, patrzcie i pamiętajcie!

Pani Dodo podbiła nietylko rzesze swych wielbicieli, ale i całą widownię, gdyż grała ją przemiła Gorczyńska, której mniej lub

Nowe wydawnictwo

Zarys księgowości wielkich przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych

opracował Bronisław Jabłonowski. Warszawa 1927. 36 stron.

więcej szczęśliwymi partnerami byli Lenczewski (mąż) i Hnydziński („uwodziciel"). Doskonale grali Kurnakowicz (poeta) i Orwid (lekarz).

Niemniej wesoła jest znana komedja Tristana Bernarda: „Kawiarenka", grana w Teatrze Fertnera i Ćwiklińskiej. Są to dzieje kelnera, który odziedziczył krociowy spadek, ale związany podstępną umową, nie może porzucić swej posady i prowadzi podwójne życie: w dzień podaje piwo, a w nocy hula w najdroższych lokalach. Kończy się wszystko przykładnie małżeństwem bohatera z córką jego pryncypała. O ile mogłem dojrzeć z tylnej części sali, gdzie dyrekcja teatru ofiarowała mi uprzejmie fotel recenzencki, komedję grał składnie cały zespół z popularnym Fertnerem na czele.

Na koniec tej przydługiej nieco wędrówki teatralnej zajdźmy jeszcze do Qui pro quo, by zobaczyć nową rewję p. t. „Karuzela". Wszystkie chorujące gwiazdy tego teatrzyku wyzdrowiały i zabłysły w tej przepysznej rewji: a więc nieporównana pieśniarka, Ordonówna (nastrojowy Hejnał krakowski i charakterystyczne piosenki żydowskie), najwartościowsza siła zespołu; Jarosy, arcyzabawny conférencier; Zimińska i Dymsza, którzy pokazali, jak kwitnie kult Chopina w Ryczywole; Krukowski, który swą „żydologję" doprowadza do maestrji, i inni. Wypada tylko żałować, że w części baletowej, którą zagarnęli tak zresztą świetni artyści, jak Parnellowie, niema miejsca dla Szymbortówny, która w innego rodzaju rolach jest zupełnie przeciętna i marnuje talent. Tytuł swój nosi rewja od karuzeli, na której podróżują wybitne osobistości polityczne, śpiewając kapitalne kuplety. Całość — „pierwsza klasa".

I. W.

SKĄD POCHODZI NAZWA „KANADA".

Mało komu wiadomo, skąd pochodzi nazwa wielkiego północno-amerykańskiego obszaru, który dawniej należał do Francji, obecnie zaś stanowi dominium angielskie. Dla wytłumaczenia jej — trzeba cofnąć się wspomnieniem do dawnych czasów, kiedy to hiszpańscy awanturnicy zalali w poszukiwaniu złota nietylko Amerykę Południową, ale też przenieśli się do Ameryki Północnej i między innemi dostali się na terytorjum dzisiejszej Kanady. Pierwsi koloniści hiszpańscy, którzy po długich trudach dotarli do tej krainy, natrafili na dziką, nieurodzajną puszczę o niezdrowym ostrym klimacie. Rozczarowanie ich wobec tak niespodziewanych warunków wyraziły powiedziane wtenczas przez nich słowa: „Aca nada", czyli „tu niema nic", które przyjęły się jako nazwa tego kraju. Kiedy po wielu latach przybyli tam Francuzi, byli przekonani, że „Aca nada" jest pierwotną nazwą, używaną jeszcze przez Indjan i wprowadzili ją również w użycie. Potem obydwa słowa zespoliły się i stworzyły dzisiejszą nazwę: „Kanada".

LICYTACJE.

Do akt. Nr. 1922-1926 r. KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI **Bronisław Pingielski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Południowej Nr. 20, na zasadzie art. 1030 Ust. Post. Cyw. ogłasza, że w dniu 7 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Brzezińskiej pod Nr. 95 odbędzie się sprzedaż przez licytację ruchomości, należących do Pawła Stasiaka i składających się z 300 butelek wódki czystej po 0,5 litra, ocenionych na sumę zł. 500. Łódź, dnia 23 listopada 1926 r. Komornik Bronisław Pingielski.

Do akt. Nr. 1750-1926. r. KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI **Bronisław Pingielski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Południowej Nr. 20, na zasadzie art. 1030 Ust. Post. Cyw. ogłasza, że w dniu 7 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Zgierskiej pod Nr. 51 odbędzie się sprzedaż przez licytację ruchomości, należących do Walentego-Józefa Urbanowskiego i składających się z mebli, ocenionych na sumę zł. 540. Łódź, dnia 20 listopada 1926 r. Komornik Bronisław Pingielski.

Do akt. Nr. 257-1926 r. KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI **Bronisław Pingielski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Południowej Nr. 20, na zasadzie art. 1030 Ust. Post. Cyw. ogłasza, że w dniu 14 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Brajera pod Nr. 18 odbędzie się sprzedaż przez licytację ruchomości, należących do Edmunda Nowaka i składających się z urządzenia sklepu, mebli. 24 worków mąki żytniej i 3 worków soli, ocenionych na sumę zł. 1165. Łódź, dnia 18-go listopada 1926 r. Komornik Bronisław Pingielski.

Do akt. Nr. 3100-1926 r. KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI, **Jan Rzymowski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Sienkiewicza 67, na zasadzie art. 1030 U. P. C. ogłasza, że w dniu 9 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Wólczańskiej pod Nr. 37 odbędzie się sprzedaż z przetargu publicznego ruchomości, należących do Szmula Altera i składających się z mebli, oszacowanych na sumę zł. 760. Łódź, dnia 19 listopada 1926 r. Komornik Jan Rzymowski.

KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI NA STAROSTWO ŁASKIE **Alojzy Gałczyński**, urzędujący w Łasku, ogłasza że dnia 9 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Czestkowie B., gm. Buczek, odbędzie się sprzedaż przez publiczną licytację ruchomości: 2 krów i ogiera, należących do Stanisława Piaseckiego, oszacowanych na zł. 1000. Łask, dnia 23 listopada 1926 r. Komornik Alojzy Gałczyński.

KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI NA STAROSTWO ŁASKIE **Alojzy Gałczyński**, urzędujący w Łasku, ogłasza, że dnia 6 grudnia 1926 roku od godziny 10-ej rano w Pabjanicach, przy ulicy Fabrycznej Nr. 34 odbędzie się sprzedaż przez publiczną licytację ruchomości: 30 kompletów firanek, maszyny do szycia, fortepianu i mebli, należących do Józefa Prüfera, oszacowanych na zł. 1210. Łask, dnia 20 listopada 1926 r. Komornik Alojzy Gałczyński.

KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI NA STAROSTWO ŁASKIE **Alojzy Gałczyński**, urzędujący w Łasku, ogłasza, że dnia 6 grudnia 1926 roku od godziny 10-ej rano w Pabjanicach, przy ulicy Bagatela Nr. 12 odbędzie się sprzedaż przez publiczną licytację ruchomości: 1 warsztatu tkackiego, 2 trajbmaszyn, 1 maszyny do prątków, 1 szpulmaszyny, 1 snowadła i 7 rolet, należących do Józefa Prüfera, oszacowanych na zł. 710. Łask, dnia 20 listopada 1926 r. Komornik Alojzy Gałczyński.

Źródła zakupu i dostaw dla przemysłu

Analizy

ZAKŁAD BADAWCZY PRZY PAŃSTWOWEJ SZKOLE WŁÓKIENNICZEJ w ŁODZI, ul. Żeromskiego Nr. 115. Analizy techniczne: węgla, wody, smarów, tłuszczów, oleiny, sulfolu, mydła, próbne farbowania barwników, badania przędzy i tkanin. — Rzeczoznawcy zaprzysiężeni.

Automobile i części zapasowe

FERD. RAUSCH, Łódź, Kilińskiego Nr. 86, tel. 7-98. Poleca taśmy hamulcowe, oraz taśmy zwane „ferodofibre" marki ochronnej **Scandura.**

Barwniki anilinowe

ARTUR GOLDSTADT, Sp. Akc., Łódź, Zachodnia 72. Telefony: 5-68 i 15-36.

Betony

CZESŁAW POTZ, Łódź, Radwańsa 26, tel. 33-08. Wykonuje stopnie, posadzki, cembrowiny do studni, rury wszelkich wymiarów oraz chodniki.

Budowlane materjały

JAKUBOWICZ STANISŁAW, Łódź, Andrzeja Nr. 11, tel. 16-24. Poleca płytki do podłóg, płytki ścienne. wapno, dachówki.

ROSICKI, KAWECKI i S-ka, Łódź, Przejazd Nr. 21, tel. 7-70 i 18-47.

Budowlane przedsiębiorstwa

PLAESCHKE B-cia, Łódź, Nawrot 43/47, tel. 50-65. Przedsiębiorstwo Budowlano-Sztukatorskie.

Cegła szamotowa

JAKUBOWICZ STANISŁAW, Łódź, Andrzeja Nr. 11, tel. 16-24. Poleca kominówki, klinkiery i cegłę ogniotrwała

Chemikalja

ARTUR GOLDSTADT, Sp. Akc., Łódź, Zachodnia 72. Telefony: 5-68 i 15-36.

Chłodnice

SUSKI i LENKSZEWICZ, S-ka Kom., Piotrkowska 102. Tel. 39-40. Chłodnice, kompressory, oczyszczanie wody, pompy **„BALCKE".** Przebudowa i naprawa chłodnic

Druciane wyroby

R. JUNG, Łódź, Wólczańska 151, tel. 28-97. Wyrabia i poleca siatki, plecionki do ogrodzeń, tkaniny druciane we wszystkich metalach.

Elektryczne maszyny

„ELEKTROBUDOWA", Łódź, Kopernika 56, tel. 11-77. Silniki prądu trójfazowego na norm. niskie napięcie od 1 do 25 K. M. Transformatory od 5 do 150 K. V. A.

POLSKIE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE (P. T. E.) w Warszawie, Jerozolimska Nr. 71. ODDZIAŁ w ŁODZI, Narutowicza 32, tel. 41-33. Budowa we własnych fabrykach w Warszawie i Katowicach silników elektr., prądu trójfazow. do 300 K. M., prądu stałego do 100 K. M., transformatorów do 1000 K. V. A. Instalacje do przenoszenia siły i światła. Sprzedaż artykułów elektrotechnicznych. Naprawy maszyn elektrycznych.

Elektrotechniczne składy

„FERRO-ELEKTRICUM" Sp. z o. o., Łódź, Piotrkowska 123, tel. 11-69, 51-29, 42-48. — Maszyny i motory elektryczne. Wszelki materjał elektrotechniczny. Odkurzacze i froterki elektryczne. Reprezentacje fabryk krajowych i zagranicznych.

Farby, pokosty i lakiery

ROSICKI, KAWECKI i S-ka, Orla Nr. 17, tel. 18-47 i 7-70.

Gumowe wyroby

ADOLF BOKSLEITNER i S-ka, S. z o. o., Łódź, Piotrkowska 149, tel. 14-09. Gumowe artykuły techn., chirurg. Wyroby azbestowe. Węże ssące i tłoczące. Pasy transmisyjne. Opony samochodowe i rowerowe. Fibra. Plandeki. Linoleum. Cerata i kalosze.

Izolacje kotłów i rur

CZESŁAW POTZ, Łódź, Radwańsa 26, tel. 33-08. Wykonuje izolację kotłów, rur i t. p. azbestokrzemem i korkiem.

PLAESCHKE B-cia, Łódź, Nawrot 43/47, tel. 50-65. Przedsiębiorstwo Budowlano-Sztukatorskie.

ROSICKI, KAWECKI i S-ka, Łódź, Orla Nr. 17/19, tel. 18-47 i 7-70.

Łożyska kulkowe i kulki stalowe

KUSKE KAROL, Łódź, Kilińskiego 86, tel. 25-81. Łożyska kulkowe i rolkowe stałe lub wahliwe i kulki stalowe marki D. W. F.

Mechaniczne zakłady

KOMOROWSKI ZYGMUNT i S-ka, Łódź, Sienkiewicza 56, tel. 51-56. Armatura żelazna i metalowa do wody i pary. **Autogeniczne** spawanie i lutowanie ołowiu wodorem. **Montowanie cukrowni,** gorzelni, rektyfikacyj i t. p. Urządzenia **farbiarń i fabryk chemicznych.**

Mydlarskie artykuły

„SAIR", ul. Narutowicza 32, tel. 25-86, 44-86. Repr. f. The Cookson Produce & Chemikal Co. Ltd. London.

Obicia do maszyn

REMUS ALEKSANDER, Łódź, Wólczańska Nr. 164, tel. 43-37. Obicia dla szarpaków.

Ogrzewanie centralne

DRZEWIECKI i JEZIORAŃSKI, Tow. Akc w Warszawie, Jerozolimska Nr. 71, ODDZIAŁ w ŁODZI, Nawrot 85, tel. 30-30. Ogrzewanie centralne i wentylacje rozmaitych systemów.. Pralnie mechaniczne. Kuchnie parowe. Urządzenia kanalizacyne, wodociągowe i kąpielowe. Prospekty wysyłamy na żądanie.

Opony samochodowe

KUSKE KAROL, Łódź, Kilińskiego Nr. 86, tel. 25-81. Opony „Michelin" i „Firestone".

Pasy do maszyn

FERD. RAUSCH, Łódź, Kilińskiego Nr. 86, tel. 7-98. Pasy wielbłądzie i bawełniane.

REMUS ALEKSANDER, Łódź, Wólczańska Nr. 164, tel. 43-37. Pasy skórzane transmisyjne fabryki „Temler i Szwede" w Warszawie.

S. SUDAK, Łódź, Cegielniana 62, tel. 5-93. Wyrób nowych pasów i wszelka naprawa.

SUSKI i LENKSZEWICZ, S-ka Kom., Piotrkowska 102. Tel. 39-40. Pasy skórzane, z sierści wielbłądziej i gumowe „BALATOID" oryg. **„Adolph Schwartz et Co" Berlin.**

Pilniki i raszple

JULJUSZ NOWACKI, Przędzalniana 22, tel. 49-98. Fabr. pilników. Istn. od 1874 r. Przyjmuje pilniki do nacinania.

Pompy i kompresory

A. PREISS, Łódź, 6-go Sierpnia 13, tel. 41-13. Wyrób pomp i urządzeń studziennych.

Powroźnicze zakłady

KUNIG HENRYK i S-ka, Łódź, Napiórkowskiego 119, tel. 50-95. Wyrabia wszelkie artykuły wchodzące w zakres powroźnictwa. Montaże na żądanie w każdym czasie.

FERD. RAUSCH, Łódź, Kilińskiego Nr. 86, tel. 7-98. Linki transmis. okrągłe i kwadratowo plecione.

Studzien budowa

S. BARTCZAK i W. KUSAK, Łódź, Nawrot Nr. 37, tel. 24-05. Przeds. budowy studzien artezyjskich.

J. HOFFMANN. Łódź, Kilińskiego Nr. 119, tel. 43-35. Przedsiębiorstwo wiertnicze. Budowa studzien wszelkiego rodzaju.

JASIŃSKI KAROL, Łódź, Pomorska 47, tel. 13-50. Przedsięb. budowy studzien artezyjskich.

Tłuszcze roślinne

ARTUR GOLDSTADT, Sp. Akc., Łódź, Zachodnia 72. Telefony: 47-01 i 15-36.

Transportowe urządzenia

SUSKI i LENKSZEWICZ, S-ka Kom., Piotrkowska 102. Tel. 39-40. Elektrowciągi **„ALBATROS",** suwnice, kompletne wózki dla suwnic z urządzeniem elektrycznem, transportery stałe i przewoźne dla węgla, bawełny etc.

Węże strażackie

SUSKI i LENKSZEWICZ, S-ka Kom., Piotrkowska 102. Tel. 39-40. Węże parciane, gumowane i gumowe.

Wózki do towarów

OŁDAKOWSKI i NEUMARK, Łódź, Zakątna 81, tel. 71. Poleca wózki dla składów manufakturowych, przędzalni, tkalni i farbiarni.

Żaluzje drewniane

AL. KIMPEL, Łódź, Przędzalniana 29, tel. 12-92. Fabr. żaluzyj drewnianych, rolowych i listwowych.

Redakcja i administracja w Łodzi, ul. Piotrkowska 85, tel. 45-50
Oddział redakcji i administracji **w Warszawie,** Wilcza 16, tel. 305-07
„ „ „ **w Poznaniu,** Skarbowa 7, tel. 28-58

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 gr. za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 gr. za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 gr. za wyraz. Ogłoszenia w „Źródle Zakupu" 3 zł. za 2 wiersze, każdy następny wiersz 1 zł.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85